WSPOMNIENIA

Z POWSTANIA R. 1863

I Z NIEWOLI

1

Pamiątki mego
ś.p. Ojca

Adam [illegible]

IV



Romuald Wilusz

V

VI

Ten własnoręcznie spisany i nigdzie
nie drukowany pamiętnik ś. p. mego Ojca -
najdroższą moją pamiątkę, ofiarowuję
do zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie.

Adam Wilusz
dyr. gimn.

Busko-Zdrój. 1. VIII. 1935 r.

Wspomnienia

z powstania r. 1863. i z niewoli

skreślone w pięćdziesiątą rocznicę
dla ukochanego syna Adamaja„
ko dar pamiątkowy w dniu Imienin
24. Grudnia 1913.

Romuald Wilusz.

(† 15/II 1922 w Drohobyczu)

VIII



Romuald Wilusz   Pacana

W roku 1863 byłem słuchaczem wydziału medycznego w uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie między młodzieżą akademicką szerzyła się idea powstania w celu wskrzeszenia niepodległej Polski. Z tego centrum rozlewała się szeroką falą na średnie klasy.

Ruch rewolucyjny wezbrał z żywiołową siłą jak potok górski, rozszerzył się między masy ludności i stał się gwałtowny, jak huragan w swoim pędzie niepowstrzymany.

Organizacya była tajna.

Wszyscy należący do organizacyi, składali uroczystą przysięgę na bezwarunkowe

posłuszeństwo Komitetowi i na gotowość poświęcenia życia i mienia dla dobra Ojczyzny.

Spiesząca do powstania młodzież podzielona była na dziesiątki z dziesiętnikiem na czele – dziesięć dziesiątek stanowiło setkę ze setnikiem, jako zwierzchnikiem, a dziesięć setek, czyli tysiąc, podlegało rozkazom tysięcznika. Każdy znał tylko swojego dziesiętnika.

Moim dziesiętnikiem był Zygmunt Gebhardt kolega z Gimnazyum, słuchacz prawa. Przed nim składałem przysięgę.

Rząd temu rewolucyjnemu ruchowi nietylko nie przeszkadzał, ale nawet stare karabiny na Wawelu, dla powstania sprzedawał. Wypływało to z powiewu prądu przychylnego dla uciemiężonej Polski, jaki udzielił się naówczas prawie całej Europie,

z wyjątkiem Prus.

Na ulicach Krakowa pełno było obcej młodzieży. We wszystkich handlach, kawiarniach, restauracyach, wrzało gorączkowe życie.

Wszystko robiło się niemal jawnie, a policya miała na to zamknięte oczy.

Gdy mnie mój dziesiętnik uwiadomił, że już niedługo na pole walki wyruszymy, pojechałem z pożegnaniem do domu moich rodziców. Mieszkali we wsi Błaszkowa, w powiecie Brzosteckim.

Była to pierwotnie własność dziadka Janowskiego herbu Strzemie. Po śmierci dziadka, przeszła dziedzicznie na własność córki, a mojej matki.

Należące do ojca dobra Sobniów z przyległymi folwarkami, leżące w obwodzie Jasielskim, sprzedano nieuczciwie na licyta-

cyi za stosunkowo bardzo niską cenę kilkudziesięciu tysięcy guldenów, a dziś mają one krociową wartość.

Zasmucili się rodzice, że idę do powstania, ale zrozumieli to, że gdy Ojczyzna do boju woła, nie można za piecem siedzieć.

Ojciec dał mi sławne z celności strzału pistolety Kuchenreitery i jatagan turecki z czasów pogromu Turków przez Króla Jana Sobieskiego. Były to cenne pamiątki, ale ojciec poświęcił je dla dobrej sprawy.

Najmłodsza moja siostra Bronisława, lała kulki do tych pistoletów.

Nadszedł nareszcie stanowczy dzień pożegnania. Najukochańsza moja matka tonęła we łzach i błogosławiła mnie – i u ojca zabłysła łza w oku i siostry płakały, żegnały i obwieszały moje piersi po-

święconymi medalikami.

Żegnałem się ze służbą, która mnie dzieckiem znała, pożegnałem mojego starego srokacza, któremu czasem ze spichrza pokryjomu owsa wynosiłem, żegnałem wierne psy podwórzowe i stary dworek i wysmukłe topole, które już zawsze zdaleka witałem, gdy ze szkół na wakacye przyjeżdżałem.

Żegnałem pola i lasy, po których uganiając, tak szczęśliwy się czułem i rozszlochany odjechałem.

Ogromnie bolesna była dla mnie ta rozłąka ze wszystkiem, co mi tak drogie było.

Szło się na bój z wrogiem, na niepewne losy, może na śmierć, może w lody Sybiru. Ta myśl natrętnie się nasuwała i niewysłowionym smutkiem ogarniała.

Z końcem Stycznia wróciłem do grodu

Krakusowego.

Dnia 7go Lutego na świętego Romualda, mojego patrona, wyszedłem do powstania.

W tym tak pamiętnym dla mnie dniu wysłuchałem pobożnie mszy świętej w świątyni Panny Maryi, wyspowiadałem się, potem zatknąwszy za pas jatagan i nabite pistolety, okryłem się burką i pospieszyłem pożegnać przezacną pannę Krynicką, która dla dobra Ojczyzny gotowa była dać życie w ofierze, a która swoje mienie, swoją egzystencyę, swoją przyszłość, dla świętej sprawy powstania poświęciła.

Gdy mnie ta szlachetna patryotka uzbrojonego zobaczyła, rozegzaltowana zawołała na ciekawie zerkające pensyonarki: „chodźcie tu panny, całujcie go, bo to przyszły bohater."

Przyklęknąłem, a panny, jak rój barwnych

motyli, otoczyły mnie kołem, zaś niektóre śmiel-
sze i dobrze mi znajome, spełniły to tak słodkie
dla mnie polecenie ich przełożonej.

O jakżeż gorąco zapragnąłem w tej chwili
stać się bohaterem!

Z błogosławieństwem, obdarowany świę-
tościami, jako niezawodnymi amuletami, chro-
niącymi od kul i bagnetów, ze łzą w oku,
jak waryat wybiegłem na ulicę.

Z kilkoma kolegami, których nazwisk
dziś już nie pamiętam, wyszliśmy przez war-
szawską rogatkę do najbliższych lasów, gdzie
się oddział zbierał. Już było ciemno, jak
przyszliśmy na Michałowicką komorę i prze-
szli granicę.

W nocy usłyszeliśmy wołające patrole
„pikinierów": „stój, kto idzie".

Przybyliśmy do obozu w Ojcowie.–

Tu jakiś sztabowiec, zobaczywszy u mnie ta-
kie świetne pistolety, zrobił mi uwagę, że nie-
bezpiecznie jest iść z nabitą bronią między taką
ciżbę, gdyż faktycznie nie było już miejsca dla
nas. Radził mi zostawić je u niego do prze-
chowania. W dobrej wierze, nie przeczuwając
podstępu, uczyniłem to.

Na drugi dzień „uczciwy" sztabowiec zniknął
i jakby się w ziemię zapadł, odnaleźć go nie
mogłem.

Pistolety przepadły.

Jatagan spodobał się pułkownikowi
Rochebrunowi, dzielnemu dowódcy „żuawów
śmierci" – prosił mnie o niego. Żałowałem
potem po niewczasie, że mu go nie dałem,
bo straciłem go później i nie wiem, w jakie
ręce się dostał.

W Ojcowie zapisałem się do pierwszego

plutonu ułanów pod dowództwem porucznika Rosego. Widocznie coś do mnie pan porucznik cierpiał, bo ostentacyjnie mi dokuczał. Posyłał mnie często, nieraz wśród śnieżnych zawiei, na warty, patrole, grand-gardy (po za obóz), a innych oszczędzał.

Miałem kiepski pałasz i lancę, która mi tylko zawadzała, bo lancą władać nie umiałem, jak wogóle cała powstańcza jazda tej broni użyć nie umiała. Broni palnej nie posiadałem, jakżeż więc mogłem był ostrzedz oddział o zbliżaniu się nieprzyjaciela, gdybym był, stojąc na widecie po za obozem, natknął się był na patrolujących Kozaków.

Konia miałem zachwaconego i bestya była grubo romansowa. Nieraz w marszu rwał się do swoich ulubienic i pastro-

mić go nie było można, a w stajniach, chcąc się ustrzedz jego miłosnych awantur i zamieszania, jakie między końmi sprawiał, nie można go było przy klaczy stawiać. Bałem się zawsze, aby nie rżał i nie kwiczał, jak on to umiał, gdy w marszach przez lasy największa cichość i ostrożność była nakazana.

W partyzantce kawalerzysta poświęca siebie dla obsługi konia. Pierwszy jest koń.

Trzeba go rozsiodłać, napaść, napoić, wyzgrzebłować i osiodłać, a potem dopiero można chwilkę o sobie pomyśleć.

Niejednokrotnie, gdy kawalerzysta, uporawszy się z obsługą konia, chce się posilić, daje się słyszeć komenda „na koń" i marsz, marsz o głodzie.

Wogóle cały oddział Kurowskiego był stósunkowo do uzbrojenia regularnego żołnie-

rza rosyjskiego wprost nie do wiary licho uzbrojony. Strzelcy mieli stare dubeltówki i różnego kalibru i kształtu odwieczne jednorurki, nawet i sznurkami powiązane. Kawalerya nie miała pistoletów, lanc użyć nie umiała, broń sieczna była wybrakowana; a jednak pod Miechowem szaloną szarżą do miasta, wśród gradu kul nieprzyjacielskich, Somosierrę przypominała.

Jedni żuawi lepiej byli uzbrojeni.

Jakiś złośliwy dyabeł płatał mi w tej partyzantce dokuczliwe figle. Pochwa u pałasza, dotem nadłamana, odrywała się i wystające ostrze zagrażało kaleczeniem ludzi i koni.

Z obawy, aby nieszczęścia na siebie i na drugich nie sprowadzić, musiałem zawsze jechać z wydobytym pałaszem, jakby w obec nieprzyjaciela, co podczas mrozów było udręczeniem.

Pomimo mojej ostrożności skaleczyłem w nogę kolegę Czernego, gdy mając pałasz w pochwie, niespokojnie kręcącego się konia dosiadałem.

Nie opisuję już dalej moich przygód w tej niefortunnej wojaczce, tych naszych męczących marszów nocnych po lasach i wertepach, tych entuzyastycznych owacyi, jakie nam urządzali mieszczanie w Olkuszu i Wolbromiu, tego szczerego zapału i tej wielkiej ofiarności okolicznego obywatelstwa, a w przeciwstawieniu, tej wrogiej postawy ludu wiejskiego wobec powstania; nie opisuję morderczej, skutkiem nieudolności naczelnego dowódcy, nieszczęśliwej bitwy pod Miechowem, gdyż ta bitwa jest dokładnie opisana w jubileuszowej książce: „W pięćdziesiątą rocznicę" J. Grabca; muszę jednak wspomnieć o tragicznym epilogu dziejów naszego oddziału.

Ten oddział składający się z plutonu ka-

walerji pod Rosem, z kompanii strzelców i kom-
panii kosynierów, pod głównym dowództwem
majora Cybulskiego, przyszedł pod Miechów za
późno, gdy cudów męstwa dokazujący zuawi,
przeważnie akademicy krakowscy, legli śmiercią
walecznych, gdy rozwścieklony wróg strasznie się
bestwił, bezbronnych mordował, palił, rabował
i rannych okrutnie dobijał i gdy już niedobi-
tki ratowały się bezładną ucieczką.

Strzelcy i kosynierzy podsunęli się pod sam
klasztor Bożogrobców, gdzie Moskale z każde-
go okna gradem kul razili. My w najwię-
kszym galopie dotarliśmy do klasztoru. Przy-
witani gęstym ogniem, nie mogąc przecież do-
konać cudu, aby mury konno przeskoczyć, ze stra-
tą kilku ludzi, wycofaliśmy się z ognia.

Strzelcy odstrzeliwali się bezskutecznie – ko-
synierzy ukryli się w rowie – ostatecznie cały

oddział, w obec przewagi rozbestwionego żołdactwa, zmuszony został w bezładnym odwrocie podążyć za uciekającymi niedobitkami.

W nocy przeszliśmy granicę i przybyliśmy do Czerny pod Krzeszowicami.

Tu przyjęci niechętnie, nieżyczliwie przez chłopów, zdradzeni przez nich, bo na własnych naszych koniach pognali w nocy do Krzeszowic i wojsko sprowadzili, zostaliśmy obsaczeni i schwytani.

Prawie dwa dni i dwie noce nie zsiadaliśmy z koni, to też z przybyciem do Czerny byłem ledwie żywy. Z biedą zawlokłem się do jednej chałupy, oddałem konia chłopu, a sam, nie rozbierając się, ciężki jak kłoda, zwaliłem się na posłanie i twardym nieprzerwanym snem spałem aż do rana.

Wczesnym rankiem zbudziły mnie wołania:

„Austryacy, jesteśmy otoczeni”.

Zerwałem się szybko i przez okno zobaczyłem żandarma z nasadzonym na karabin bagnetem i kilku huzarów na koniach. Źle, pomyślałem sobie „Hannibal ante portas”. Nie tracąc fantazyi, wyszedłem ku nim, a uchyliwszy nieco czerwonej czapki, powiedziałem „dzień dobry”. W odpowiedzi uderzył mnie żandarm w twarz i przyłożył mi bagnet do piersi. Widząc to huzary, pośpiesznie zsiedli z koni, odwiedli kurki olbrzymich pistoletów i obskoczyli mnie ze zwykłem każdemu Węgrowi przekleństwem „bassama ....”

Tak zagrożony „obstupui et vox faucibus haesit”.

Dziś po latach pięćdziesięciu, ten podły czyn posiepaka austryackiego oburza mnie, bo nawet w niewoli wśród dzikiej brutalności Moskali nie doznałem nigdy takiej zniewagi.

W tej krytycznej chwili wyszedł z chatupy mój sojusz – zwrócili się więc do niego a roz-wściekłony żandarm tak samo go przywitał.

Huzarzy widząc nas bezbronnych, wobec bru-talnej przemocy bezsilnych, siedli na konie, a ten bohater, plugawiący honor żandarmeryi i wstyd jej przynoszący, poprowadził nas do zbornego miejsca, dokąd piechota schwytanych ze wszy-stkich stron doprowadzała i jak bandytów bru-talnie traktowała. –

W Krzeszowicach reagowaliśmy jednogłośnie przeciw takiemu bezprawiu nikczemnego zbira i wnieśliśmy skargę na niego, ale już inny, nie-przychylny powstaniu rząd powiat, więc naszą zniewagę puszczono płazem i pewnie sprawy na-wet nie poruszono. Nie miał się kto za nami ująć.

Z Krzeszowic wieczornym pociągiem odsta-

wiono nas do Krakowa i umieszczono w forcie przy warszawskiej rogatce. Skoro świt zajechały wojskowe, w cztery konie zaprzężone wozy i otoczonych eskortą, zawieziono na Wawel. –

Na zamku stał wtenczas węgierski pułk piechoty, który nas także nieprzyjaźnie traktował, a tak nas karmił twardymi knedlami z papryką, że nasze gardła piekielnym żarem zioneły i pragnienie było nieugaszone.

Po niedługim popasie w więzieniu zamkowem, odstawiono nas do apartamentów u św. Michała. Tu po niejakim czasie stawiono nas przed forum trybunału sądu karnego i po krótkiej rozprawie uwolniono.

Wkrótce po wyjściu z więzienia zaciągnąłem się do formującego się w Krakowie oddziału Mosakowskiego, ze szkoły wojskowej w Cuneo.

Do domu nie chciałem jechać z obawy, aby na prośby matki nie zmięknąć i zapisać się nie schować.

W Krakowie miałem serdecznych przyjaciół jak ś. p. Władysława Romera, syna obywatelskiego z Bieździedzy koło Kołaczyc, poległego w bitwie pod Krzykawką i żyjącego Juliana Maciołowskiego który także brał udział w powstaniu; przytem miałem wiele innych dobrych kolegów, z którymi wesołe chwile spędzałem.

W szarej kamienicy ćwiczył nas w musztrze Lipczyński, major wojsk polskich z r. 1831.

Ciekawa była jego komenda. Śmialiśmy się z całego gardła jak komenderował „w li-hop" (w lewo) – „furażerki-hop" – „w pra-hop" (w prawo).

Dnia 13. Kwietnia 1863 wyszedł oddział z Krakowa przez Łobzów i zbroił się w lasach po naszej tuż przy granicy.

Byli w tym oddziale Cz. Pieniążek, Kiernicy, Pierzchała, Pacana, wszyscy z Jasielskiego, był Pereński, Szafrański i wielu innych akademików i uczniów średnich szkół krakowskich.

Niewielki to był oddziałek i prawdopodobnie Mosakowski zamierzał połączyć się z jakim większym oddziałem, bo z tak małą siłą nie mógł się ważyć zetrzeć się z nieprzyjacielem. Składał się z kompanii strzelców pod kapitanem Wiesnerem, z kilkudziesięciu kosynierów i z małego plutonikuka, walerzyi pod Józefem Miernickim.

I tu miałem prześladującego mnie pecha.

Mosakowski został uwiadomiony, że Austryacy są blizko obozu, więc z jego rozkazu wysłał Wiesner nas czterech czy pięciu strzelców, aby o Austryakach „dostać języka".

Całą noc błądziliśmy, a nie mogąc znaleźć oddziału, który na nas nie czekał i granicę

przeszedł, zostaliśmy, przez chłopów w drągi uzbrojonych i przez patrolującą wzdłuż granicy piechotę, obskoczeni i aresztowani.

W licznej asystencyi przyprowadzono nas do Krzeszowic.

Tu świetny c. k. sąd powitał mnie, jako starego znajomego z wizyty po Miechowskim pogromie i dodawszy mi do towarzystwa dwóch żandarmów, aby mnie w drodze zabawiali, jako „politisch streng verdächtigen Revolutionisten" odesłał do Krakowa.

Znalazłem się znowu w dobrze mi znanych apartamentach pałacu św. Michała.

Nazwisk kolegów tego smutnie dla nas zakończonego rekonensansu, nie pamiętam, zdaje mi się jednak, że był między nimi Pierzchała.

U św. Michała wyszedł do mnie szanowny pan „Kerkermeister i powitał: „a, jak się Pan

ma, znowu Pan do nas zagościł — a niema tam Pan przypadkiem jakiego nożyka koło siebie".

Odpowiedziałem mu, że miałem oprawdzie sztylet w cholewie, ale spodobał się żołnierzom i dałem go im. Faktycznie tak było, że przy osobistej rewizji zabrali mi sztylet.

Wszystkie cele były pełne powstańców.

Było nieraz tak hałaśliwie, że aż dozorcy prosili, abyśmy się uciszyć, a i żołnierze ze strażnicy nieraz na górę biegli.

Z więzionych razem ze mną powstańców pamiętam dziś tylko Konwickiego, który mnie nazywał studencikiem i Psarskiego, który był tak ładny, że mieliśmy go za dziewczynę. Bił się odważnie — poległ pod Jurkowicami.

Siedziałem w śledztwie może ze dwa miesiące. Przez znajomych miałem wiadomości z domu i pomoc materyalną.

Odwiedzały mnie czasem moje kuzynki, panny Jezierskie z matką i przynosiły mi kwiaty i owoce.

Nie pamiętam w którym miesiącu była moja rozprawa przed trybunałem sądu karnego.

Audytorium było liczne, przeważnie młodzież akademicka. Śmiali się z mojego ubioru, bo miałem na sobie spodnie jasne obciste, węgierskim krojem zrobione, czerwoną koszulę i powstańczą burkę. Cudacznie wyglądałem.

Skazany na więzienie z wliczeniem dwumiesięcznego aresztu śledczego, po wysiedzeniu brakujących do wymiaru kary kilku dni, otwarły się dla mnie bramy więzienia.

Dostałem rozkaz natychmiastowego udania się do miejsca pobytu moich rodziców.

Z radością tam pojechałem, bo w domu rodzicielskim byłem „oczkiem w głowie" mojej naj-

ukochańszej matki i ulubieńcem moich sióstr. Ojciec był dla nas dobry, ale przynas surowo cho„wał, baliśmy się ojca, kochaliśmy jednakże i bar„dzo szanowali.

Muszę tu jeszcze nadmienić, że gdy sie„działem u św. Michała, wujowstwo Biesiadeccy i panna Krynicka usiłowali za pośrednictwem pro„fesora Jabłońskiego nakłonić mnie do przyrzeczenia, pod słowem honoru, że już więcej do powstania nie pójdę i przerwane studya medyczne kontynuować będę. Pomny złożonej przysięgi walczenia do ostatniej kropli krwi, a mnie jeszcze ani kropelki Moskale nie upuścili, w mojem pojęciu ważności przysięgi, słowa honoru dać nie mogłem.

I moi rodzice byli przeciwni mojemu posta„nowieniu ponownego udania się w szeregi po=wstańcze. Z bolem serca musiałem się oprzeć Ich prośbom i być niezczułym na trzy tak bar=

dzo kochającej mnie matki. —

/.

W obwodach Tarnowskim, Jasielskim i Sanockim w miesiącu Sierpniu 1863. począł Czachowski organizować oddział.
Ze wszystkich stron spieszyła młodzież do oddziału dzielnego dowódcy.
Dworek moich rodziców stał się prawie siedzibą oficerów tworzącej się w Jasielskiem 3ciej kompanii karabinierów, do której i ja się zaciągnąłem.
Kapitanem kompanii był oficer austryacki Semetkowski, dziś urzędnik Wydziału krajowego. porucznikami byli Wiesner i Spalikowski.
Do starszyzny należał także niejaki Afrykański - prawdopodobnie pod przybranem nazwiskiem - jakiś wielce zagadkowy osobnik.

Blagował i łgał obrzydliwie, masakrował Moskali językiem na miazgę, a pił wódkę jak wodę. Nigdy nie był pijany, gdzieś ta wódka wsiąkała w niego jak w gąbkę, jak w kufę bez dna. Głoszono potem w obozie, że to był szpieg rosyjski i podobno go nasza wiara do podziemi królewstwa Lucypera na gorącą smołę wysłała.

Moi rodzice nie wielkie mieli gospodarstwo, prawdziwe kłopotarstwo. W domu były trzy córy na wydaniu i trzech synów, a ten dar Boży trzeba było odziewać, żywić i kształcić, topniały więc prędko skromne dochody z roli. Ojciec stękał i zadłużał się, bo codzienne przyjęcia oficerów i młodzieży obywatelskiej z okolicy, drogo kosztowały – ale dla świętej sprawy powstania zadłużało się prawie całe niezamożne obywatelstwo. –

Z tytułu, że już pod Miechowem proch wą-

chałem i jako syn miejscowego obywatela, u którego starszyzna gościła, uzurpowałem sobie komendę nad wiarą i bawiłem się mu- strą na obszernym gazonie w obec pobłażliwych na tę moją fuszerkę oficerów oddziału.

Powtarzam „bawiłem się”, bo o mustrze mia- łem, jak Niemiec mówi „blauen Dunst” a pod Kurowskim służyłem w kawaleryi, więc piechotna komenda była mi zupełnie obcą i sam mojej komendy wykonać dobrze nie umiałem.

Było dużo śmiechu, żartów, figlów, więc nie była to karna mustra, tylko jakby wesoła zabawa we wojnę: Ja jako komendant mia- łem pojedynkę, ptaszniczkę – moja kompania była uzbrojona w kije, z których na komendę „pal” strzelanie udawała.

W Październiku r. 1863 oznaczono zbór ca- łego oddziału w lasach Baranowskich.

I znowu żegnano nas ze smutkiem i ze łzami.

Wieziono nas na miejsce przeznaczenia pocztą obywatelską, od dworu, do dworu. –

W lasach Baranowskich cały oddział umundurowano i uzbrojono.

Broń była dobra, przeważnie sztućce belgijskie bagnety szerokie obosieczne. Mundury i płaszcze z szarego sukna – kepi francuzkie.

Oddział stanowił siłę 700 piechoty i 100 jazdy, prezentował się świetnie.

Gdy już cały stanął pod bronią, uformował czworobok i nastąpił przegląd tej siły zbrojnej przez naczelnego wodza. Na komendę sprezentowano broń i Czachowski otoczony przybocznym sztabem przejechał przed frontem i odebrał przysięgę na posłuszeństwo, na karność, na wierność Ojczyznie. Ta uroczysta przysięga pasowała nas niejako na rycerzy

i wywarła podniosłe wrażenie. Animusz był junacki, powszechny zapał do walki z wrogiem ogarnął wszystkich.. Żartowano sobie w szeregach „zrobimy bigos z Kapuśniaków".

Prawdopodobnie chcąc nagrodzić moim rodzicom gościnność, jakiej w Ich domu powstańcy doznali, mianowano mnie podoficerem. Śmiesznym byłbym, gdybym się pochwalił, że na ten awans zasłużyłem. Śmiało mogę powiedzieć, że nawet temu nie byłem rad, bo żadnych zasług dotychczas nie położyłem, a jak już o tem wspomniałem, w domu rodziców mustrą się bawiłem, ale tu trzeba było poważnie tę rzecz traktować i mustrę znać, zwłaszcza, że w kompanii było wielu żołnierzy z armii austryackiej, godniejszych tego awansu.

Ostatecznie kazano przyszyć gwiazdki, więc posłuch... i stanąłem w szeregu jako starszy.

Jednej nocy nasze przednie straże zetknęły się z wojskiem austryackiem – zaczęła się strzelanina i podobno tam z obu stron byli zabici i ranni. Nasza kompania w tem starciu udziału nie brała.

Zaraz na drugi dzień wjechał konno w sam środek obozu żandarm austryacki z huzarami. Było ich może z dziesięciu. Wiara podniecona wczorajszem starciem się z Austryakami poczęła strzelać.

Podbiegłem bliżej – wtem jeden z oficerów wysunął się i z rewolweru trupem żandarma położył. Huzarzy uciekli.

Nazwiska tego oficera nie pamiętam.

Pogłoski szły po obozie, że tak nieszczęśliwie pozbawiony życia żandarm oddany był naszej sprawie i huzarów do obozu prowadził. Z innego znowu źródła słyszałem, że nie rozstawiono pikiet i żandarm w nieprzyjaznych zamiarach dostał

się do obozu - takiej śmiałości jednak trudno dać wiarę. Zabitego mieli zawieźć chłopi do Tarnobrzegu, gdzie go pochowano.

Tego samego dnia pomaszerowaliśmy nocą ku granicy. Bitwa pod Jurkowicami

Ze wschodem słońca, a był to piękny, jesienny dzień 20 go Października, przeszliśmy w bród Wisłę. Woda sięgała nam do ramion - broń i ładunki trzymaliśmy wysoko nad głową, aby nie zamokły. Wyszliśmy z tej kąpieli na brzeg, jak zmokłe szczury. Woda ciurkiem z nas ściekała, a zęby dzwoniły ze zimna, bo wczesnym rankiem jesiennym woda miała temperaturę lodu.

Rozsypani w tyralierkę, gotowi do strzału, cicho, ostrożnie podsunęliśmy się pod strzechy jakiejś wsi, położonej nad brzegiem Wisły.

Zdawało się, że śmierć tędy przeleciała i całą wieś skosiła. Ani śladu życia - ponura

cisza – ani śladu żyjącej istoty. Wszyscy mieszkań-cy, przeczuwając bitwę z całym dobytkiem uciekli w lasy.

Sądziliśmy, że ta groźna cisza kryje zasadzkę, ale ani pies nie zaszczekał.

Dalej szliśmy już głośno z pieśnią bojową, z gęstą fantazyą. W oddali widniały białe mury miasteczka Osieka. W pobliżu miasteczka konie kawaleryjskie zwęszyły strzydz uszami i rżeć – był to znak, że nieprzyjaciel blisko. Ścisnęliśmy mocno karabiny i z wytężonym wzrokiem szliśmy cicho przez tajemniczy las.

Pod wsią Rybnicą czekali już na nas Moskale, ukryci w lesie i zaatakowali nas.

Zawrzała krwawa bitwa.

Pomnę jednego strzelca, jak ranny padł na ziemię i zawodził płaczliwie: „oj dali mi Ojczyznę”. Chociaż kulki gwizdały koło uszów i

śmierć w oczy zaglądała, roześmialiśmy się mimowolnie.

Czachowski z całym sztabem obserwował bitwę ze wzgórza, potem, nie czekając końca bitwy, opuścił oddział i jak się o tem później po obozie rozniosło, poszedł z jazdą w lasy Iłżeckie.

Zostaliśmy bez wodza. –

Oficerowie Liwocz (Zajkowski) Rosner i Zwoliński na własną rękę dowodzili.

W partyzantce trzeba mieć ślepą wiarę w rozkazy wodza i zaufanie do wodza, gdy więc tego wodza zabrakło i krzyżowały się różne rozkazy, powstał chaos, bo nie wiedziano, kogo słuchać.

Ostatecznie zwycięztwo było po naszej stronie, gdyż byliśmy liczebnie silniejsi.

Już szarzeć poczęło, jak strzały ucichły.

Moskale uciekli.

Utkwił mi w pamięci jeden epizod z bitwy,

osobiście mnie dotyczący.

Do lasu, z którego nas Moskale pierwotnie za-atakowali, pobiegło nas może dwudziestu i stanę-liśmy za skrajnemi sosnami, zkąd strzelaliśmy do uwijających się Kozaków. Nagle z poza sosny, o kilka kroków odemnie, wysunął się Moskal z ka-rabinem w ręku i począł uciekać. Zmierzyłem się do niego, ale wziąłem go na cel za nizko - kulka wryła się w ziemię pod nogami uciekającego. Nie uszedł jednak śmierci - zabili go kosy-nierzy.

Wspominam o tem, bo mógł mnie przecie ukryty za drzewem, a przezemnie niewidziany, zdmuchnąć znienacka z tego świata, a stchórzył. „Sic fata tulere". Bóg tak chciał.

Po bitwie Rybnickiej odpoczęło i posilono się. Pod noc oddział ruszył dalej.

Szliśmy lasami całą noc. Nadranem znale-

źliśmy się znowu na pobojowisku w Rybnicy, której zgliszcza jeszcze tliły, a dymy pogorzeliska ciągnęły się w dal na pola i lasy.

Obraz, jaki się nam przedstawił, przejął nas pełnią grozy. Wszędzie, a szczególnie w jednym wielkim wąwozie, leżeli razem, snem wiecznym uśpieni, polegli obrońcy wolności i służalcy despotyzmu. Te krwawiące rany, te straszliwemi cięciami ostrych kos rozpłatane czaszki, te twarze przedśmiertną agonią wykrzywione, ten przerażający wyraz zagasłych, jakby szkłem powleczonych oczu, dziś jeszcze widzę. Takiego niewymowną grozą przejmującego widoku zapomnieć trudno.

Byliśmy ogromnie znużeni – siły nas już opuszczały – gdy jednakże Moskale, pod Rybnicą pobici, wzmocnili się w większą siłę i szli w ślad za nami, aby nas rozbić, to trzeba było

posuwać się dalej w lasy Sandomierskiej ziemi.

Około południa stanęliśmy we wsi Jurkowice. Koło dworu położonego w bliskości lasu postanowiono odpocząć i posilić się, bo dyabło było głodno.

Ustawiono broń w kozły - roznicono ognie, wyciągnięto kotły i poczęto krzątać się około obiadu. Manierki z okowitą krążyły kolejno z rąk do rąk, a niejeden dzieciuch tak pożądliwie łyknął, że aż się zakrztusił i wszystkie gwiazdy zobaczył.

Kto miał do zjedzenia, wydobywał ze sakwy i wspólnie się dzielono, bo w obozie było serdeczne braterstwo - zrównanie wszystkich stanów pod sztandarem wolności, równości i niepodległości.

Wielu z umęczenia usnęło, bo w partyzantce, gdy wróg goni i obsacza, jak strzelcy lisa w kniei, gdy nocami umykać trzeba i ślad za sobą gubić, to nawet idąc zasypia się.

Z pobliskiego dworu wyszły nas powitać

odważne Polki. Wieść potem szła, że jedna zgi-
nęła tam od kuli moskiewskiej.

Nie dali nam Moskale siąść do kotłów z kaszą, nie dali odpocząć i posilić się – niespodziewanie pod-sunęli się lasem pod sam obóz i gęstym ogniem nas przywitali.

Miało być Moskwy 4 roty piechoty, sotnia ko-zaków i szwadron dragonów pod komendą majora Czuti.

W obozie zakotłowało jak w mrowisku – powstało zamieszanie, krzyżowały się komendy – każden pospiesznie, gorączkowo chwytał za broń, polecał się Bogu i spieszył do szeregów. W kilku minu-tach dostaliśmy się do wsi i obsadziliśmy wie-śniacze zabudowania.

Moskale wysunęli się odważnie na kraj lasu i nacierali. Z obu stron szedł gęsty ogień, a pole bitwy stało się gęsto poległymi i rannymi.

Mnie stojącemu pod ścianą budującej się

chaty, o mało kula głowy nie roztrzaskała] — o pół cala niżej, a byłbym sobie już od pół wieku spokojnie siedział gdzieś może na jakim szczęśliwszym planecie.

[Moskale podpalali domy i zmuszali nas opuszczać nasze obronne stanowiska — ostatecznie wyparli nas na koniec wsi, gdzie stała opuszczona karczma, a za nią widniał ostatni duży budynek — owczarnia folwarczna.

Trudno pamiętać dziś wszystko szczegółowo — pamięć zawodzi, pomnę jednak, że razem z moim przyjacielem Pierzchałą i z kilkomastoma rzyszami broni 3 ciej kompanii, szybkim biegiem pod gęstym gradem kul, co jak złe osy brzęczały nam koło uszu, do karczmy dotarliśmy.

Tu już wszystkie wyjścia i okna do ostatecznej obrony nasi obsadzili.

Moskwa zatym naporem za nami runęła.

Jedna rota podsunęła się pod karczmę, reszta otoczyła owczarnię, ostatnią naszych fortecę.

Moskale gęsto strzelali – z naszej strony szedł słaby ogień, bo amunicyi zaczęło brakować i obroń-ców ubywać – Było już kilku zabitych i rannych. Moskale usiłowali nas podpalić i łatwo tego do-konali. Nieuchronna śmierć nam groziła.

Jeden z naszej wiary wywiesił białą chustkę na bagnecie, bo dach już się zaczął palić – inny znowu śpiewał z brawurą „Jeszcze Polska nie zginęła" /. nazwisk nie pamiętam/.

Ja jednego jeszcze Moskala wziąłem na cel i trupem go położyłem – w sam czoło dostał. – „Sua laus sordet", więc daleki jestem od myśli próżnej chwalenia się moim celnym strzałem; zresztą przysłowie mówi: „człowiek strzela – Bóg kule nosi."

Dalsza obrona była niemożliwa – tylko jeden

Bóg mógł nas ocalić.

Klęknijmy bracia i zaintonujmy „Kto się w opie-kę" zawołatem – i pod grozą zbliżającej się śmierci, uklękliśmy w pokorze. Błagalna, przedśmiertna, u-roczysta pieśń wzniosła się do niebios przed tron Wszechmocnego Obrońcy.

Opisać wrażenie tej podniosłej chwili niezdolny jestem. To nie był strach, to było zniecierpliwienie świadomości tego, co nastąpić miało.

Trzask i syk wzmagającego się ognia uświadamiał o niebezpieczeństwie. Ogniste węże zaczęły się wić po ścianach, a my klęcząc, wołaliśmy tą pieśnią o pomoc do Nieba.

To nasze korne, rozpaczliwe wołanie przedosta-ło się pewnie przed Majestat Boski, bo Moskale, jakby w ten nasz śpiew wsłuchani, strzelać prze-stali.

Zaczęło się już robić gorąco – płomienie zaczę-

ły już okna ogarniać, więc instynkt samozachowawczy nakazywał ratować się.

Moskale otoczyli nas zwartym szeregiem i najeżyli bagnety. Żegnając się z życiem, wyskakiwaliśmy oknami. Byliśmy pewni, że nas wszystkich wykłują, ale oddaliśmy się w opiekę Bogu i Bóg nas uratował.

Bito nas, kolbowano i obrzucano gradem moskiewskich przekleństw, ale nie mordowano.

Wyskakując oknem, zapalił się na mnie płaszcz. Pomnę, że przyskoczył do mnie serdeczny nasz Karabinier, niejaka Szczyńska, dzielna dziewczyna, która zaciągnęła się w szeregi powstańcze i odważnie w ogień szła, a celnie strzelała.

Ona pomogła mi zrzucić ze siebie palący się płaszcz, który już był nie do użytku. Zostałem na jesienne zimno w lekkiej czamarce, a że była gęsto szamerowana, Moskale przyskakiwali

i drwili „wot, husar, sukinsyn, a to jewo w mordu".

Że nas nie wymordowano, to może w części win-
niśmy kapitanowi Polakowi, który z podniesio-
nym pałaszem wpadał między nas i rozwścieczo-
ną dzicz i bronił nas od jej okrucieństwa.

„Bratj w plen, bratj w plen" krzyczał i brano
nas w plen (w niewolę).

Moskali, którzy się nadenną znęcali, kutako-
wali i od (sukinsynów, prochwostów) miatcznikłów
wymyślali, ułagodziłem troche wódką, jaką mia-
łem w manierce, musiałem jednak pierwszy na-
pić się. Niedowierzali, bali się, czy nie zatruta.

Koło mnie jęczał ranny kolega, więc wyjąłem
z torby bandaż, aby mu ranę zabandażować.

Strasznie ich to zgniewało, że się tak przyspo-
sobiłem.

Obrabowali mnie doszczętnie, ale, że w torbie
pieniędzy nie znaleźli, grozili mi: „dawaj

diengi, a to ubijom".] Miałem w cholewie pula-res z dziesięcioguldenowym banknotem – cały mój majątek – chcąc jednak odwieść ich od tej grabieży, mówiłem im, że to austryacki papier, że niema dla nich żadnej wartości. „Niczewo, szto jeto awstrijckaja bumaga i jeto diengi" mówili i zabrali.

Dobrze jeszcze, że mi butów nie ściągli.

[W owczarni, która nie miała dachu i Moskale napróżno ją podpalali, broniono się jeszcze.

Obrona była bohaterska, ale, że już zabrakło amunicyi, zaś Moskwa po spaleniu karczmy w pomoc swoim pospieszyła, więc „nec Hercules contra plures."

Polskie kulki świstały nam koło uszów – można było od swoich zginąć..

I tak byliby nasi pewnie zwyciężyli, ale nadbiegła Moskalom pomoc – świeże 3 roty – i tą ostatnią fortecę szturmem zdobyli. – Naczelnym dowódzcą tych rot moskiewskich był podpułkownik Gołubicco.

Zabitych i rannych miało tam być kilku-dziesięciu. – Pozostałych przy życiu, wzięto do niewoli.

Tak się skończyła bitwa pod Jurkowicami – trwała 5 do 6^ciu godzin. Słońce skłaniało się już ku zachodowi, jak ostatnie strzały ucichły – zgliszcza pożaru jeszcze się tliły.

Była to jedna z większych bitew w powstaniu r. 1863. Sami Moskale przyznają się, że stracili w tej bitwie 150^ciu ludzi, więc może dwa razy więcej ich zginęło. Naszej wiary również nie mniej poległo. ~~II~~ Koniec

Gdy nas już ustawiono w „pochód" i podwójnym rzędem szczelnie otoczono, obrabowano jeszcze dwór. Wynoszono kufry, szafy – rozbijano i zabierano wszystko, co tylko jaką wartość miało. Dwór spalono. –

Wyruszyliśmy, gdy się już dobrze ciemno zro-

cito.

W nocy zatrzymaliśmy się w jakiejś wsi, czy w miasteczku, dobrze tego nie pomnę. Wpra„ kowali nas do ogromnej stodoły, gdzie nad wyraz zmęczeni, senni, zziębnięci i zgłodniali, padliśmy jak martwi, na wilgotne ścierko.

Pomimo, że sen nas morzył, sililiśmy się, aby nie zasnąć, bo nas straszono, że Moskale chcą nas żywcem upiec. Jedni temu wierzyli, bo znane są okrucieństwa Moskwy, drudzy temu wiary nie dawali - zdaje się jednak, że wszystkim po„ kazał strach swoje wielkie oczy, bo w oczekiwa„ niu czegoś groźnego, wszyscy czuwali.

Z rannym brzaskiem odetchnęliśmy swo„ bodniej, ale trzęśliśmy się ze zimna, jak liście osiny i osłabliśmy ze znużenia i z głodu.

Kazano nam „odiewatj'sia", znowu nas silnym konwojem ściśnięto i przeprowadzono

do Staszowa.

W Staszowie zniesiono nam z mieszczańskich domów obfite zapasy różnych prowiantów i ciepłą odzież. Poznałem tam D^ra^ Rotha, mojego kuzyna, który podobno był przewodniczącym Komitetu opieki nad wziętymi do niewoli powstańcami. Dostałem od niego wspaniałe palto, które później na zaspokojenie głodu za bezcen spieniężyć musiałem.

Muszę tu jeszcze wspomnieć, że gdy się Moskale dowiedzieli o „miatężnikużeńszczynie" t.j. o Pooczyńskiej, zaraz ją zabrali i jak zwierza w menażeryi ciekawie oglądali. Illustre moskiewskie koncepty i niedźwiedzie szutki (żarty), posypały się gradem na zawstydzoną kolegę broni. Uwolniona, przyszła do nas, ubrana we właściwe jej płci sukni i serdecznie się z nami żegnała.

W Staszowie nie trzymano nas długo. Poprowadzono nas do Kielc, siedziby głównodowodzącego jenerała Czengierego, zmoskwiconego Węgra.

Ustawiono nas w szeregi i nakazywano „nie rozgawaryważ” (nie rozmawiać). Obwieszczono „smotr” srogiego jenerała i straszono obietnicą nahajek.

Staliśmy jakiś czas w trwożnem oczekiwaniu ujrzenia tego groźnego dygnitarza — nareszcie usłyszeliśmy „gienierał idiot”.

Konwojujący nas oficerowie wyprężyli się jak struny i zawrzasli unisono „szljapy doloj” (czapki zdjąć).

W całym swoim majestacie, w otoczeniu przybocznej świty i nieodstępnych kozaków z nahajkami, ukazał się nam średniego wzrostu, okazałej tuszy, Jewo Prewoschaditielstwo

wsjemaguszczyj gienirał Czengiery.

Zdjęliśmy czapki i czekaliśmy rychłoli którego z nas położą Kozunie na kolanie i wsypią pewną porcyę nahajek, bo w ten sposób miała się odbywać doraźna egzekucya.

Czengiery lustrował nasze szeregi, wpatrywał się bacznie, raczej wpijał swój groźny wzrok w każdego.

Przed tymi, na których zwrócił jakąś szczególniejszą uwagę, przystawał i pytał „Kak zwatj, od kudapriszoł." Przeważna liczba była z Galicyi, byli jednak i Królewiacy i „innostrańcy" (innej narodowości).

Stanął przedemną. „Kak zwatj" zapytał. Powiedziałem nazwisko. „Od kudapriszoł". Z Galicyi. Ach, ty łajdaku, wrzasnął po polsku, to ty do nas przychodzisz z Galicyi rabować i rozbijać - zaraz każę cię powiesić.

Mniej więcej podobnie wszystkich pocieszał.
Trzeba było zmilczeć, bo inaczej Kozacy porywa-
li swoją ofiarę i w mig świszczały nahajki
w powietrzu.

Opowiadano, że jeden Francuz nie zdjął cza-
pki, bo nie rozumiał rozkazu „szljapy doloj" i
zatkiem niewinnego kazał Czengiery ściwiczyć.

Podobno Czengiery miał mieć żydka fakto-
ra, pośrednika w uwolnieniu majętniejszych wię-
źni, ale trzeba się było grubo opłacić. Można się
było uwolnić, trzeba było jednak sypnąć rubla-
mi, więc nie przypuszczałem nawet myśli mo-
żliwości uwolnienia.

Tacy satrapi z nieograniczoną władzą robili
w powstaniu majątki z polskiego znoju, z pol-
skiego mienia. Grabili bezczelnie.

Moskal mówi: „wsio możno, tolko ostoro-
żno", gdy jednak dla miatczników nie istnia-

to prawo, tylko bezprawie, to kradli bezprawnie, nie „ostrożno" lecz całkiem jawnie i jeszcze za to dostawali „Kresty".

I znowu nas spisano, kilkakrotnie przeliczono i konwojowani przez silny oddział wojska, przyszliśmy do Radomia, gdzie panem życia i śmierci był jenerał gubernator Uszakow.

W Radomiu umieszczono nas w koszarach wojskowych. Wszędzie było pełno żołdactwa.

Strzeżono nas pilnie, ale pozwolono publiczności z miasta przychodzić, przynosić odzież i różne wiktuały. Był w tem także interes naszych stróżów, bo dostawali od przychodzących łapówki i „warowali" przyniesione rzeczy, jak się tylko udało.

W powstańczych szeregach było dużo plebejuszów. Ci wysuwali się natrętnie naprzód i zabierali wszystko, co kto przyniósł.

Nieśmiali i ci, co swoją godność cenili, nie pchali się, nie prosili i rąk nie wyciągali. Do tych i ja należałem.

Pamiętam, jak raz przyszła do mnie jakaś ładna dziewczyna i ofiarowała mi trąbkę papierową pełną cukru, a jej modre oczy tak bardzo prosiły, abym wziął, że odmówić nie mogłem, zwłaszcza, że nie byłem nieczuły na wdzięki płci pięknej.

Do obrzydliwej kuchni moskiewskiej miałem jeszcze odrazę i nie jeść nie mogłem. Z biegiem czasu, gdy nas posuwano dalej w głąb Rosyi, gdy głód dokuczał, jadło się jeszcze gorsze świństwa, ale, że to były dopiero początki niewoli i dozwolono donosić nam żywność z miasta, więc sam zapach tych trojem śmierdzących specyałów obrzydzenie wzbudzał, zwłaszcza, że cebry z jedzeniem były nieczyste i niechlujne. —

Nie miałem nawet odwagi skosztować tych obrzydliwości.

Te cebry musiano nam także stawiać na noc, potem ich dobrze nie wymyto i jedzenie w nich dawano.

Trudno nawet temu uwierzyć, a jednak jest to autentyczne, że gdy raz obiad nam przyniesiono, spostrzegliśmy na wewnętrznych brzegach cebrów ślady ekskrementów ludzkich.

Podnieśliśmy wielki krzyk, krzyk najwyższego oburzenia i zażądaliśmy dyżurnego oficera. Nato jeden z unterofisierów oświecieckony wysredł na przód, zamieszał zabłoconym butem to świństwo w cebrze i krzyczał: „wot gaspoda Polaki i tak budiet haraszo i tak budietie kuszatj".

Na nasz krzyk wpadł dyżurny oficer. Pokazaliśmy mu „corpus delicti" i zażądaliśmy

ukarania brutalnego unteroficera i zaraportowania jenerał-gubernatorowi karygodnego niechlujstwa.

Czyż jednak miatężnikom mogła być sprawiedliwość wymierzona! Uczuliśmy boleśnie, że „vae victis".

Pomnę ten radosny dzień, w którym moją najlepszą matkę tam zobaczyłem.

Pół leżąc, pół siedząc na gołych deskach naszego legowiska, zabawiałem się rozmową z Pieruhalą, wtem, o wielki Boże, trudno nawet było temu uwierzyć, wywołują nas Moskale i w asystencyi dyżurnego oficera wchodzą nasze matki.

Zerwaliśmy się szybko dla powitania tak dla nas drogich a niespodziewanych gości - zdawało się nam, że to jakiś cudowny sen, że to nie rzeczywistość, a nasza radość nie miała granic. Całowaliśmy te drogie przeciwne ręce,

nie mogliśmy się oderwać od widoku tych bezgranicznę miłością tchnących twarzy i dziękowaliśmy za to wielkie poświęcenie się dla nas.

Groziło to wielkiem niebezpieczeństwem, bo jadąc wózkiem kilkanaście mil, można było łatwo życie utracić, gdy drogi były wojskiem moskiewskiem obsadzone, gdy w lasach obozowały oddziały powstańcze, a tu i ówdzie staczano bitwy i potyczki. Można było łatwo wjechać w samo zarzewie walki, w sam środek kośby śmierci i życiem to przypłacić.

Nasze matki wyjechały z domu z zamiarem uwolnienia nas w Kielcach. Musiały się dowiedzieć, że u Czengierego można się było wykupić za pośrednictwem jego zaufanego żydka faktora – jak to już o tem poprzednio wspomniałem i postanowiły spróbować szczęścia. Jakie były fundusze na to potrzebne, dotychczas nie wiem.

Fatalizm losu chciał, że przybyły do Kielc za późno, gdyż wyszliśmy już do Radomia, gdzie się nic zrobić nie dało.

Uszakow był dla nas przychylnie usposobiony, kierował się ludzkością i sprawiedliwością, ale łapownikiem nie był. Był to typ Moskala zupełnie inny od Czengierego. Pochodził z rodowej arystokracyi i w obcowaniu z ludnością był pańsko grzeczny.

Za kilka dni miano nas poprowadzić do Warszawy. Moja matka, zgodnie z panią Pierzchalicną, postanowiły czekać aż do dnia wysyłki partyi, aby nas dopiero w ostatniej chwili rozstania pożegnać.

Zawołano nas do spisu, dano „kazionne wieszcze (skarbowe rzeczy) i kazano „stroitj sia" do wysyłki.

Dostałem szynel z grubego sukna, długi

55

po pięty, do którego w przystępie przystały do głowy, dałem przyszyć świecące guziki – od matki dostałem oficerski kaszkiet i tornister – wyglądałem jak moskiewski „radowoj" (żołnierz).

Nadszedł prędko pamiętny dzień pożegnania. Wyprowadzono nas na obszerny plac koszarowy, gdzie nas odebrał silny oddział wojska. Szło kilka rot piechoty – szła sotnia kozaków i prowadzono armaty, bo między Radomiem a Warszawą uwijało się kilka partyi powstańczych, z obawy zatem, aby nas nie odbito, szli Moskale w szyku bojowym.

My szliśmy w środku między dwoma szeregami piechoty.

Moja najlepsza matka zalewała się łzami i błogosławiła na daleką drogę. Mnie cisnęły się na myśl błogie wspomnienia minionego szczęścia w domu rodzicielskim, gdzie

mnie tak kochano i tak dogadzano. Chwycił mnie spazmatyczny płacz, bo tylko jednemu Bogu było wiadome, czy wrócę, czy nie zginę w mroźnych krainach Sybiru, gdzie tyle polskich pokoleń zginęło.

Szliśmy cały dzień.

Przodem uganiało kozactwo, wysyłane na zwiady, czy droga bezpieczna. Pod noc zaszliśmy do Grójca, gdzie był nocleg. Na drugi dzień bez żadnego przypadku przyszliśmy do Warszawy.

Już zdaleka widne były groźne mury cytadeli, tego żywego grobu tylu polskich męczenników, o których polska martyrologia głosi. Tam nas zaprowadzono.

Zabrzęczały zasuwy, zaskrzypiały wrzeciądze, otwarły się podwoje bram i Moskale pchnęli swój żer do wnętrza cytadeli.

Ustawiono nas na obszernym placu, gdzie

po dłuższem czekaniu nadeszła komisya, złożona z jeneralicyi z przybocznym długim ogonem oficerów różnego gatunku broni i różnej rangi.

Musiał tam być także i ówczesny prezes komisyi śledczej, osławiony Tucholko i godny jego pomocnik wiceprezes Zdanowicz i renegat Kuczkowski, zwany Morokiem, który znęcał się okrutnie nad swojemi ofiarami i w historyi polskiej martyrologii krwawemi zgłoskami się zapisał.

Gdy nas komendant cytadeli odebrał, nastąpiła „powierka" czyli policzenie odebranych więźni.

Można powiedzieć, że takie liczenie jest stósownie do drapieżnej natury Moskali „namacalne".

Taki „unter" (podoficer) liczy głośno, adin, dwa, tri . . . i licząc, szturka każdego w piersi, jakby się chciał przekonać o istnieniu więźnia, że to nie duch, nie mara — a jeżeli chce dokuczyć, to kułakiem tak mocno w piersi uderzy, że się

uderzony zachwiać musi.

Przypominam sobie, jak przez sen, że przechodzi-liśmy przez kurytarze, pełne kul ułożonych w pira-midy i przez bastiony, gdzie stały „puszki" (armaty) z wylotem na Warszawę.

Zmęczonych i głodnych wtłoczono do wilgotnych kazamat i zamknięto na klucz.

Początek był wcale nie obiecujący.

Na tapczanach nie było sienników, jak wszę-dzie dotychczas, to nie było bardzo rozkosznie obi-jać sobie boki o twarde deski - ale powoli przyzwycza-liśmy do tych przyjemności.

Przyniesiono nam w cebrach jedzenie, które by-ło tak nieprzyjemnie woniejące, że apetyt zupełnie odbierało. Moskale zapraszali drwiąco „kuszaj-tie pany, stawna, atliczaja pachlopka" (wybor-na zupa). „Fames est optimus coquus" więzień i ów jadł, choć się krzywił i spluwał. I ja próbo-

wałem głód zaspokoić, ale przełknąć tego nie mogłem.

Dotychczas przynoszono nam z domów różne wiktuały, że jednak do cytadeli nikogo nie wpuszczano, to kto nie miał swoich pieniędzy, a tych „pochlopek" jeść nie mógł, skazany był na głodówkę.

Ja miałem kilkanaście rubli od matki, więc posyłałem sołdatów po bułki i warszawskie serdelki i tak głód zaspakajałem. Za każdym razem musiałem się opłacać, bo, jak się nie dało łapówki, to mówili „nie łzia" (nie wolno) i głodnym się było.

W Warszawie długo nie byliśmy. Spisywano nas znowu, kompletowano rzeczy, liczono i szturkano – otoczono gęsto szeregami wojska z nabitą bronią i zaprowadzono na dworzec kolei Warszawsko Petersburgskiej.

Ostatecznie wpakowano jak nie ludzi do aresztanckich wagonów.

Te wagony mają wysoko w górze małe zakratowane okienka, rzucają zatem niemożliwie skąpe światło do środka. W dnie posępne jest zupełnie ciemno.

U Moskala „wsio nie łzia" (nie wolno) ale jak dostanie w łapę kilka kopiejek, to wszystko wolno.

Dawałem konwojnym „na wodkę" i wolno mi było wyleźć na ławkę, aby przez okienko przypatrywać się tej naszej nieznanej mi ziemi polskiej.

Jadąc przez Mazowsze i Podlasie była jeszcze ładna pogoda – o trzydzieści mil od Warszawy na Litwie leżał już śnieg.

Minęliśmy Grodno, pamiętne sejmem Grodzieńskim, który pod grozą bagnetów rosyjskich zmuszony został zatwierdzić drugi rozbiór Polski w r. 1793. –

W Wilnie wysiedliśmy.

Zaprowadzono nas do jakiegoś brudnego bu-

dynku poklasztornego, przerobionego na więzie-
nie. Obok stał kościół, zdaje się św. Anny.

Miasta prawie nie widziałem — a żal mi by-
ło, że nie mogłem się przypatrzyć tej historycznej,
z dziejami Polski ściśle związanej stolicy Litwy.

I znowu „w pochód" i znowu w wagonach
i znowu dalej od ojczystego kraju. —

Minęliśmy twierdzę Dynaburg na granicy In-
flant i przybyliśmy do Pskowa, pamiętnego
oblężeniem przez Stefana Batorego.

W Pskowie trzymano nas dłuższy czas.

Więzienie w tej ohydnej katowni dało się
nam dobrze we znaki. Oddani pod wyłączną
władzę żandarmów, tych okrutnych naszych
katów, byliśmy zupełnie od nich zależni i
przeciwko ich znęcaniu się nad nami nie było
żadnej apelacyi.

I tu nie mieliśmy sienników i tu odgniatano

liśmy obolałe boki na twardych narach.

Tak podłej strawy, jaką nas ci szatani w moskiewskich szynelach raczyli, nie tknąłby pewnie żaden nasz wsiowy kundys. Kilka łyżek tego obrzydliwego jadła działało tak, jak proszek na wymioty. Na śniadanie dawano nam czarny, zakalcowaty, kwaśny chleb – nie ciepłego; że jednak nasi mieli samowary, można było za kopiejkę dostać szklankę gorącej herbaty z maleńkim kawałeczkiem cukru. Po rosyjsku nazywa się to „czaj z prikuskú".

Wkładają do ust kawałeczek cukru, ale tak jakoś sztucznie piją, że ten cukier wystarcza na kilka filiżanek.

Komiczna jest anegdotka, że Moskale piją czaj także „z priliżku i z prigladku". „Z priliżku" wieszają na sznurku cukier i całe towarzystwo ten cukier liże. „Z prigladku" to się tylko na cukier

patrzą.

Na obiad przynosili cebry z zupą kartoflaną, ale nie mijam się z prawdą, że kartofle nietylko nie były oskrobane, ale może w chęci dokuczania nam wrzucano je do kotła ze ziemią i z błotem. Można sobie wyobrazić, jaka to była wstrętna strawa.

Dawano także „kiste szczy" (kapuśniak).

Mazury nazywali to „scy". Była to woda kwaśkowata, trąca zgnilizną, z której listków kapusty wyłowić trudno było.

Na kolację przygrzewano te specyały, a wtenczas w kotle mieniła się powierzchnia tej trucizny kolorami tęczy, jak to można widzieć na powierzchni wody naszych wiejskich żabich stawów, przy blasku zachodzącego słońca.

Trzy dni w tygodniu dawano na obiad „gawiadinę" (wołowina). Mazury nazywali to „gawandzina".

Było dużo śmiechu z tego, gdy głodni, podsuwali miski rozdającym obiad Moskalom i krzyczeli: a dajta ta tego „scy" i tej „gawandziny"

To mięso składało się z łoju, żył i ochłapów na patyku, a jakież to było apetyczne, gdy się widziało, jak Moskale obrzydliwie brudnemi rękami nadziewali te ochłapy na patyki i w trakcie tej czynności ucierali nosy po gospodarsku, to się tego wyrazić nie da.

Pamiętam dobrze tę obszerną kazamatę, w której mieściło się nas kilkudziesięciu.

Nie byliśmy jeszcze zasądzeni, to całe dnie spędzaliśmy bezczynnie, ażeby więc żółwim krokiem wlokący się czas jakoś zabić i smutnym myślom przystępu nie dawać, zabawialiśmy się śpiewem, opowiadaniem i różnymi figlami. –

O ile pomnę, było nas kilku studentów – trzymaliśmy się razem. Nazwisk nie pa-

miętam. Większość składała się z klasy rzemieślniczej, z mieszczan i z chłopów.

Nieszczęście łączy ludzi ze sobą - toteż zbrataliśmy się tu wszyscy społem - wszyscy byliśmy równi, wszyscy tworzyliśmy jedną bratnią, węzłem niewoli złączoną rodzinę.

Nie było bezpiecznie wyróżniać się, bo jeżeli kogo nie lubiano, lub źle o kim mówiono, to wciągano go przyjaźnie do wspólnej zabawy, nie budząc w nim podejrzenia, że to zamach na jego skórę. Ta zdradziecka zabawa tak się odbywała:

Przyjeżdżał kupiec po towar - wszyscy ustawili się w dwa szeregi frontem do siebie. Kupiec oglądał towar, targował się ze sprzedającym, ostatecznie jednego wybrał. Pomocnicy kupca brali zaraz wybranego na bary i nieśli go środkiem szeregu. Tych pierwszych przenoszono spokojnie, aby się nie zdradzić i nie spłoszyć

skazanego na ukaranie. Gdy już kupiec na niego wskazał i pomocnicy porwali go na bary, wyjmował każdy schowaną pod chałatem pytkę i bił nie żartem.

Bity wyrywał się, krzyczał, ale trzymano go mocno i nie puszczano.

Na krzyk wpadali żandarmi, nic jednak zrobić nam nie mogli, bo to była zabawa.

Mieliśmy nie małą uciechę z jednym chłopem z Królestwa, nazwiskiem Rybus.

Ten chłop zakładał się z nami, że zje kilkanaście suchych bułek bez popijania wodą. Zjadał do okruszyny i zakłady wygrywał.

Ale ten żartobliwy bułkożerca miał smołę w rękach – często coś ginęło i nie można było złodzieja złapać.

Raz zginęły jakieś grubsze pieniądze – padło podejrzenie na Rybusa. Wzięto się do

niego energicznie, że się jednak zapierał, rozciągnięto go na podłodze i tak długo bito, dopóki się nie przyznał. Pieniądze oddał. – Twardy to był chłop, nawet bardzo nie krzyczał.

Wdali się w tę sprawę żandarmi, nie pamiętam jednak, jak się to skończyło. –

Było między chłopstwem wielu bajarzy. Ci, zawsze, gdy się już wszyscy do snu ułożyli, opowiadali bajki o duchach, strachach, o zbójcach, smokach i zaklętych królewnach lub skarbach. Nieraz do późnej nocy usnąć nie było można.

Zasypiałem z głową pełną słyszanych okropności, a pod ich wrażeniem, zdarzył mi się jednej nocy komiczny wypadek.

Przebudziwszy się, chciałem wyjść na korytarz, wtem zobaczyłem stojącą przy piecu wysoką, białą postać. Zdjęty strachem, przyskoczyłem do tej mary, chwyciłem za gardło i począ-

tem dusić. Duch w krzyk. Wszyscy się pobudzili, i zrobił się z tego wielki hałas. Wpadli żandarmi, śmiali się, gdy się rzecz wyjaśniła.

Pokazało się, że jeden poczciwy Litwin, podobny tuszą do Szekspirowskiego Chudogęby, nie mogąc usnąć, stanął sobie w bieliźnie przy piecu i grzał się.

Dużo było potem z tego żartów i śmiechu.

W nocy nie stawiano kubłów w kazamacie, tylko na dolny korytarz chodziło się „do wietru". Schodziło się po kamiennych schodach na dół i tam stały kubły.

Jak równocześnie szło do tego „wietru" kilku razem, a kubły były pełne, to łapali żandarmi i przymuszali te wonności wynosić na dwór, na śnieg, na mróz, bo to była mroźna zima. –

Baliśmy się tego jak zarazy, gdyż wy=

69.

chodziło się w bieliźnie i boso, więc nie trudno było przenieść się na tamten świat, aby zanieść skargę na naszych Katów przed Majestat Sprawiedliwości Boskiej.

Kilka razy byłem przez żandarmów przytrzymany i do wynoszenia kubłów zmuszony - to potem miałem się na baczności.-

Cicho, ostrożnie z bijącem sercem, skradałem się po schodach na dół, a jak zobaczyłem, że się w kubłach przelewa, zmykałem nazad.

Raz uciekłem żandarmowi. Gonił za mną, ale strach sił mi dodawał - sadziłem do góry, jak zając przed psami.-

Żandarm, nie mogąc mnie schwytać, wydobył pałasz z pochwy i rzucił za mną. Uszedłem śmierci, bo wymierzony cios chybił.

Prawie bez tchu wpadłem do Kazamaty.

Nareszcie nadszedł upragniony dzień,

w którym z gorącą podzięką Panu Bogu za wyswobodzenie nas z tej katowni, ujrzeliśmy się znowu w okratowanych wagonach.

Powieziono nas do Petersburga.

W Petersburgu przez prowokacyjną agitacyę prawosławnych popów, przez rozsiewanie potwornych wieści o bezlitosnem mordowaniu i wieszaniu „ruskich sałdatów" w Polsce, rozbestwiony motłoch przyjął nas groźbami i obelgami — obrzucał błotem i kamieniami.

Ulokowano nas „w tiuremnym zamku" ponurym, grozą przejmującym gmachu, otoczonym wysokimi murami, w których obrębie mieściło się kilkuset zbrodniarzy.

Brzęczeli kajdanami, jak potępieńcy, a dzikie ich twarze mówiły o potworności ich zbrodni i ostrzegały przed zbliżaniem się do nich.

Z biegiem czasu zmuszeni byliśmy mieć respekt przed takimi zbrodniarzami, gdy szliśmy razem z nimi skuci, gdyśmy razem spali i z jednej miski razem jedli, ale o tem później.

W kaźniach moskiewskich każdy wieczór przed spaniem odbywa się „powierka", czyli przeliczanie więźni, czy są wszyscy, czy który nie „uszoł".—

Całą noc musi się świecić trójówka, osadzona w piasku. Knot kopci, nieznośny smród dusi, tłój leje się do piasku, a w zetknięciu piasek syczy i trzeszczy. Co godzina otwierają sołdaci z hałasem drzwi od kaźni i knot palcami objaśniają.—

Można sobie wyobrazić jak to ciągłe budzenie więźnia denerwuje i jak go dla tych jego nielitościwych opiekunów usposabia. Zaledwie więzień zaśnie, już z hałasem wpadają, budzą, i znowu zasnąć nie można.—

To niewystowienie męczy - to istne tortury.

W istocie rzeczy żołdactwo jest tylko ślepem narzędziem wykonawczem. Żołdak moskiewski, niewolnik caratu, „ślepo słucha „naczalstwa”. Tak ma być „po ukazu” to nawet rodzonego ojca nie oszczędzi. Naczelne władze działają także „po ukazu” despotycznego rządu, ale jeżeli komendant więzienia człowiek ludzki, to łagodzi ten „ukaz” i więźniom tak bezlitośnie nie dokucza.

Takich w imperium absolutnego despotyzmu nie wielu znaleźć można - są to białe kruki. -

W Petersburgu, w stolicy „naguszczestwiennoho cara” (potężnego), w centrum najwyższych władz „nie lzia” mieć serca dla politycznych więźni. Chociby komendant więzienia był więźniom „błagoskłonnyj” (życzliwy)

to z obawy „donosu”, ewentualnie z obawy utra-
ty posady, musi trzymać się ściśle „ukazu”. –

Tu mnie już dalej pamięć zawodzi. Co
się dalej z nami w Petersburgu działo,
i jak długo tam byliśmy, zupełnie mi wy-
szło z pamięci. –

/.

W Styczniu r. 1864 wyprowadzono nas
z tej strasznej tiurmy i powieziono do Moskwy.
Droga prowadzi przez miasta Nowogród i
Twer. – Okolicy nie pamiętam. –

W Moskwie przypatrywaliśmy się ciekawie
tej dawnej stolicy moskiewskich carów, tej
pstrokaciźnie licznych cerkwi i domów, te-
mu, tak dla nas obcemu, ogłuszającemu rucho-
wi dwumilionowego miasta.

Ruch handlowy zaciekawia tu przybysza. – Uliczni przekupnie noszą swój towar na głowie i obwołują wrzaskliwie, co mają na sprzedaż. – Słyszy się ustawicznie „czaj graczaj” – „sachar marożnyj” (lody) „pierożnoje” (ciasta) – bliny ... i.t.p. Jak kukułka woła handlarz cebuli: „tuku, tuku” bednarz krzyczy „obrucze nabiwatj” .. i różni inni gonią za zarobkiem i zachwalają swój towar.

Nietylko w stolicach Rosyi, ale w ogóle we większych gubernialnych miastach, panuje taki obnośny ruch handlowy, służący dla wygody klas niezamożnych.

Dla ubogiej ludności roznoszą przekupnie rozgrzewający tani napój „sbitień” (zbiteń). Jest to jakiś rodzaj trawy, podobno perz z miodem – pije się gorący. –

Na Syberyi wyrabiają z odpadków herbaty malutkie cegiełki, zwane „kirpicznyj czaj”.

„Kirpicz" po polsku cegiełka, można więc nazwać ten napój „herbatą cegiełkową. Te cegiełki tarmią po kawałeczku i zaparzają gorącą wodą. Piją bez cukru, bo Syberya nie posiada fabryk cukru, dlatego ten produkt jest tam niezwykle drogi.

W Moskwie różnorodnych sklepów, jak Moskal mówi „propastj (przepaść), a wszędzie brodaci kacapi w czerwonych „rubaszkach", w sukiennych kaftanach, przepasani barwnymi bawełnianymi pasami, zapraszają do siebie. Charakterystyczną cechą ugrzecznienia moskiewskich kupców jest zakończenie wyrazów literą s. np. „piats, kopijeks".

Szliśmy ulicami i placami miasta kilka godzin i przeszliśmy prawie przez całe miasto. Podziwialiśmy ogromne gmachy, przepiękne pomniki, wspaniałe pałace bojarów,

i złociste kopuły prześlicznych cerkwi.

Utarła się w Moskwie ta legenda, że w „matuszce Moskwie" jest sorok soroków cerkwi - to znaczy tysiąc sześćset - w rzeczywistości niema ich ani połowy. —

Rodzenny lud rosyjski jest „błagaczestiwyj" (pobożny), ale ta jego pobożność jest tylko zewnętrzna i zasadza się jedynie na biciu pokłonów przed ołtarzami i na stawianiu świeczek przed świętymi, zaczem spodziewają się ich opieki i poparcia w rzeczach, o które proszą. —

Jeżeli Moskal chce coś ukraść, lub wogóle jaki niecny czyn popełnić, zapala świeczkę przed swoim świętym, wybija mu pewną liczbę pokłonów i prosi, aby mu dopomógł. Jak te jego „pobożne" prośby są wysłuchane, prosi znowu, aby się to nie wydało.

Gdy w cerkwi jest natłok „bohomolców" a

jaki batiuszka do swojego świętego za świeczką docisnąć się nie może, to podaje przez głowy tłumu swoją świeczkę i prosi podać ją dalej koło jego świętego najbliżej stojącemu. Gdy ten myl-nie przed innym świętym stawia, woła głośno „kuj ty boroda, kakomu ty czortu świeczku stawiasz, światomu Mikołajuszce czudotworcy, nie jetomu bałwanu". „Boroda" przeprasza i zanosi świeczkę „Mikołajuszce czudotworcy".

Przechodziliśmy także koło historycznego Kremlinu, tego wiekopomnego, ogromnego kompleksu różnorodnych budynków, cerkwi, wież, murów i wieżyczek, gdzie Moskale pod dowództwem kniaziów Szujskich dwa tysiące polskiej załogi wymordowali. –

I tu sfanatyzowane tłumy rzuciły się ku nam prowokacyjnie – rzucały na nas śnie-giem i kamieniami i miotały obsadne mo-

skiewskie przekleństwa. Konwojni ścisnęli ko-
clon szczelnie, z obawy, aby się na nas nie rzu-
cono.

Niedługo potem powiał inny prąd. Utworzy-
ły się komitety opieki nad politycznymi więź-
niami - zbierano składki - zastawiano stoły
w foksatach (dworcach kolei) obfitem jadłem, a bo-
gaci kupcy rozdawali każdej świeżo przybyłej
partyi więźni politycznych setki, nawet tysiące
rubli.

Zaprowadzono nas do Tytowskich koszar -
już gdzieś na drugim końcu miasta.

Tuż obok koszar w ogromnym parku stoi
letni pałac carycy Katarzyny II giej. Powiadal-
ją, że duch carycy tam pokutuje, że chodzi po
komnatach i straszy - Dla tej przyczyny stał
pustką. -

Tytowskie koszary składają się z wielu

budynków w stylu koszarowym. Otoczone są wysokim drewnianym parkanem. W pośrodku znajduje się obszerny plac przeznaczony do ćwiczeń i mustry wojska.

We wszystkich budynkach było przepełnienie, gdyż niemal codziennie napływały świeże partye. Murawiew wieszatiel wysyłał całe wsie litewskie w Sybir - szły więc całe rodziny - starcy, kobiety, dzieci i biedne matki z maleństwem przy piersi. -

Tu zwolniono nam nieco obróży. W dzień nas nie zamykano - można było odwiedzać się i bez konwoju po podwórzu chodzić - na około jednak stały warty z nabitą bronią.

W nocy zamykali kaźnie.

Warty budziły nas przeciągłem wołaniem „słuszaj". Musiało ich być wiele i w niewielkiem oddaleniu od siebie, bo długi czas

to śpiewne „słuszaj" nie milkło. Tak, jak koguty we wsi, gdy jeden zapieje, wszystkie kolejno się odzywają, tak samo na odezwanie się jednej warty, odzywały się wszystkie z kolei i nie milkły, aż ze świtem. Tym sposobem wzajemnie się kontrolują, czy wszystkie czuwają. –

Dokuczliwą plagą było wprost żywcem jedzące nas robactwo, a to miriady pluskiew, pcheł egipskich baranków i prusaków (małe brunatne karaluchy). Mnie tak straszliwie gryzły, że do krwi ciało drapałem – mam dotychczas jakby szwy na ciele na wieczną pamiątkę. Nie można się było tej obrzydliwej plagi pozbyć, bo mając tylko dwie pary bielizny, w straszliwie brudnych kaźniach, na brudnych narach, prędko się brudziła. –

W Moskwie dostałem „podajania" kilka rubli, to z początku dawałem do prania bie-

tom, które z mężami w Sybir szły, lecz później gdy pieniędzy brakło, próbowałem sam prać.

Kiepska była ze mnie praczka — nie mogłem nigdy czysto wyprać, chociaż się dobrze namęczyłem.

Komiczny był widok, gdy rano przed wsta„niem z barłogu, każdy w stroju Adamowym, mor„dował zawzięcie krwią napęczniałe, plugawe ro„je egipskich baranków, aż się paznokcie czer„wieniły — a trzaskało jak z bacików. Chłopi przy tej „rzezi niewiniątek" dogadywali dosadnie, po swojemu.

Była to istna tragikomedya życia — chcia„ło się zarazem śmiać i płakać.

Mój miły Boże, gdyby to moja najpo„czciwsza matka była widziała — pewnie jednak moje męczarnie przeczuwała.

Robactwo gnieździło się także w chałatach i w kożuchach. —

Chodziliśmy w każdą sobotę do „bani” (łaźnia parowa) musieliśmy jednak sami wody nano„ sić. W łaźni wieszaliśmy nasze rzeczy na rozciągniętych sznurach, na najwyższych stopniach, gdzie było gorąco nie do wytrzymania. Pod działaniem gorącej pary, tak się to plugastwo sypało, że się stopnie bieliły. –

Moskal bez „bani” obejść się nie może, a tak jest zahartowany, że wychodzi na najwyższy stopień, każe ciągle poddawać pary i tak dłu„ go się parzy, jak długo tylko w tem piekiel„ nem gorącu wytrzymać może. Rozpalony do ostateczności, jakby w piecu hutniczym pra„ żony, czerwony jak rak, wylatuje nago na podwórze wśród silnego mrozu i chłodzi się w śniegu. –

Nigdy temu nie wierzyłbym, gdybym sam tego wielokrotnie nie był widział. –

Po wsiach, gdzie niema wspólnej gminnej łaźni, parzą się w piecach piekarskich.

Wspomniałem o podajaniu, muszę więc wytłumaczyć znaczenie tego słowa.

Ludność państwa rosyjskiego nazywa aresztantów „nieszczastni" i lituje się nad nimi. Ta litość ustaliła zwyczaj dawania podajania, czyli pewnego rodzaju jałmużny.
Ludność ma także dlatego taką sympatyę dla więźni, że w Rosyi bardzo łatwo jest dostać się w Sybir „za kakoje niebud durazczestwo" (za byle głupstwo). Każdy sobie myśli: „dziś ja daję, jutro może brać będę".

Gdy partya więźni przechodzi przez miasto lub przez wieś, wychodzą mieszkańcy z domów i dają, co mogą, co mają. Każdy więzień ma zawieszony przez ramię płócienny „mieszok" (worek) i do tego worka wrzuca

nieraz obfite zapasy jaj na twardo, blinów (ciasto z kartoflami, z kaszą, z grochem lub serem), chleba, bułek, ogórków... bo nawet biedni dają. Uboga kobieta wynosi choćby tylko igłę i trochę nici i prosi, aby przyjąć. –

Na Syberyi ucieka z katorgi wiele bradiagów, którzy w dzień kryją się po lasach, a w nocy idą do wsi, aby śmiercią głodową nie umrzeć.

Rząd wydał „gatawam" (wójtom gmin) surowy nakaz włóczących się bradiagów chwytać i więzić, ale chłopi z obawy przed ich zemstą, aby wsi nie spalili, wystawiają dla nich żywność na zewnątrz zabudowań, koło drzwi lub okien i spokojnie spać się kładą.

Do więzień większych miast przywożą wozami masy różnego pieczywa.

Ofiarodawca przysyła zawsze z prośbą, aby się więźniowie modlili na pewną intencyę.

Jeżeli ktoś umrze, rodzina zawozi więźniom „podajanie” z prośbą, aby się modlono za duszę zmarłego lub zmarłej. Cel chybiony, bo dla „podajania” modlą się, aby jak najwięcej umierało.

Władze to chętnie widzą, bo cała Rosya urzędowa przekupna, z małymi wyjątkami wszyscy „wziatoczniki” (łapownicy). Według utartego przysłowia „czyn czyna paczitajet, czyn czyna warujet” wszyscy z góry na dół - jeden drugiemu opłacać się musi. - Taki „smotritiel” (komendant więzienia) ma z „podajania” ładne dochody, ale żeby ich nie utracił, musi się opłacać swoim przełożonym.

Cała straż więzienna także dobrze się obławia i swoje rodziny z tych ofiarnych zapasów żywi.

W Tytowskich koszarach siedziałem razem z Czesławem Tomasiewiczem, po powrocie profesorem gimnazyum realnego w Krakowie, z Witoldem Witowskim i z Szafrańskim, po powrocie

przedsiębiorcą pogrzebowym, którego w niewoli znaliśmy pod nazwiskiem Opaka. Wszyscy już nie żyją.

Tęskniliśmy za krajem, za swoimi najdroższymi, ale nie daliśmy się porwać smutkowi, któryby tylko naszą niewolę pogarszał. Odwiedzaliśmy się wzajemnie, śpiewaliśmy, deklamowali, opowiadali różne historye i zdarzenia, zwierzaliśmy się przed zaufanymi z tem, co kto miał na myśli i na sercu, zaznajamialiśmy się z tłumnie przybywającą Litwą, witali i żegnali przychodzące i odchodzące partye... i tak czas schodził.

Pamiętam raz w jednym z budynków urządzono maskaradę. Poprzebierano się ciekawie.–

Było kilka poważnie kroczących bocianów z długimi dziobami (skrzydła były zrobione z prześcieradeł a nogi i dzioby z czerwonej materyi), był konik zwierzyniecki, który na placu ucieszne harce wyprawiał, był dyabeł, brodaty

kacap i już reszty nie pomnę. Muzyka rzempoliła od ucha i puszczono się w tany. –

Moskali to bawiło, przypatrywali się ciekawie i dogadywali „wot sławno, Jej Bohu czudno".

Mnie przyszło na myśl dać jakoś uczuć tańczącym, że niewłaściwie się zabawiają, bo nasi wrogowie będą mówić, że nam u nich dobrze. Zwołaliśmy na prędce radę koleżeńską, do której należał wspomniany Tomasiewicz i uradziliśmy przebrać kogoś za „Polskę w kajdanach". –

Wykonaliśmy ten pomysł z całym możliwym pośpiechem. Zrobiliśmy białą szatę z prześcieradeł i ubraliśmy jednego studenta. Misternie ułożyliśmy na nim tę szatę, jak tunikę u dawnych Rzymian, związaliśmy mu ręce splecionemi ze szpagatu kajdanami i przypięliśmy na piersiach papierową tablicę z napisem „Ojczyzna w niewoli.

Wśród wesołej zabawy, wśród tańców, gwa=ru i śmiechu wsunęła się ta alegoryczna po=stać cicho do środka i przeszła majestatycznie na około kazamaty. – Zrobiła się cisza – zro=zumiano myśl tej alegorii – odczuty to serca pol=skie, że nie pora tańczyć w niewoli i rozeszli się wszyscy. –

Jakiś czas potem miałem porządnego boja, aby Moskale nie chcieli ukarać inicyatorów tej demonstracyi, ale pewnie tego nie zrozumie=li, gdyż nawet o to nie zapytywali.

Ile pomnę, trzymano nas w Moskwie oko=ło dwóch miesięcy, a może i dłużej.

W stosunku do Pskowskiej mordowni było nam w Moskwie względnie znośnie. Było wprawdzie głodno i chłodno, bo żywiono nas licho, a nie było grosza przy duszy, aby co do jedzenia kupić, a przy 25° mrozach świecono

tylko w piecach, ale, że nas w dzień nie zamykano i można było swobodnie chodzić i wzajemnie się odwiedzać, to razem słodziliśmy sobie naszą smutną dolę i śpiewaliśmy z fantazyą: „Bartoszu, Bartoszu, oj nie traćwa nadziei.”..

Niemal codziennie przybywały świeże partye ze wszystkich ziem dawnej Polski.–

Pocieszano nas, że powstanie jest w pełnym rozwoju, że nasi dzielnie się biją – zapewniano, że obce mocarstwa ślą groźne noty do Petersburga, że Francya i Anglia wypowiedzą Rosyi wojnę, budziła się więc optymistyczna myśl zwycięztwa, nadzieja powrotu do wolnej i niepodległej Polski. Nie wiedzieliśmy istotnego stanu rzeczy, że powstanie trzymało się tylko ostatnim wysiłkiem zabiegów Rządu Narodowego i chyliło się powoli ku upadkowi.

Prawdą było, że mocarstwa europejskie

ujęły się za Polską, ale prawie wszystkie ich noty zredagowane były tak oględnie, łagodnie i tak nie stanowczo, że Rosyi nie zastraszyły - jednej tylko Anglii nota miała ostry, stanowczy ton. -

Bismark, ten zły duch Polski, ten nieprzejednany wróg Polaków, w odpowiedzi na te noty, zagroził wojną. Mocarstwa nie widziały dla siebie żadnego interesu zawikłać się w wojnę, nie chciały dla współczucia ludów dla ujarzmionej Polski zakłócać europejskiego spokoju i milionów na koszta wojenne wydawać.

Tak więc wśród licznych przyjaciół „psy zająca zjadły". -

Rosya tryumfowała i z całem azyatyckiem okrucieństwem znęcała się nad męczeńską Polską.

Powstanie było w stadyum przedśmiertnej agonii.

/

Nadszedł nareszcie dzień wysyłki w dalszą drogę.

Po załatwieniu wszelkich urzędowych formalności i kilkakrotnem przeliczaniu, pożegnaliśmy Tytowskie koszary, a zasileni podajaniem w długiej drodze na dworzec kolei, znaleźliśmy się znowu w dobrze nam znanych okratowanemi okienkami opatrzonych wagonach.–

Szybko mijaliśmy nie gęsto rozsiane miasteczka, wsie i sioła – nie zatrzymywaliśmy się nigdzie dłużej. Jak długo jechaliśmy, nie pamiętam. Wysadzono nas w Włodzimierzu nad Klaźmą, gdzie mieliśmy być sądzeni.–

Tu zaprowadzono nas do zabudowania rot

aresztanckich i oddano pod zarząd smotri=
tiela rot, człowieka rzekomo względnego i
ludzkiego. Takim go nam przedstawiono.

Znaleźliśmy wielu politycznych więźniów,
którzy już tu dłużej byli. Zaznajomiliśmy się
prędko i dowiedzieliśmy się, że tu można było
książki mieć i listy pisać. albowiem smo=
tritiel politycznym więźniom niczego nie od=
mawiał, naco tylko pozwolić mógł.

Aby bezczynnością smutnym myślom
przystępu nie dawać, postanowiłem uczyć się
francuzkiego języka. Niewiem dziś, jak przy=
szedłem do posiadania gramatyki francuzkiej,
dosyć, że była. Zacząłem się uczyć.
Już coś bardzo niewiele umiałem, bo w domu
rodzicielskim matka i siostry rozmawiały po
francuzku, więc z ciekawości, co mówią, tro=
che się poduczałem. _

Chcąc mieć towarzysza do nauki, namówiłem jednego Warszawianina, abyśmy się razem uczyli. Ponieważ mój ojciec, a miał to być jakiś mistrz sztuki kulinarnej z Warszawy, ani wyobrażenia o francuzkim języku nie miał, zaczęliśmy od alfabetu. Z początku zapaliłem się do nauki, a mając się za nauczyciela, poprawiałem mojego ucznia, gdy tenże francuzkie słowa okropnie kaleczył.

Byłem śmiesznie zarozumiały na moją dobrą wymowę, bo gdyby był rodowity Francuz moją francuszczyznę słyszał, byłby się pewnie kładł ze śmiechu. Może i sam uczeń nie wierzył w moją erudycyę, gdyż podziękował mi za lekcye. – Nie chciało mi się samemu uczyć więc „zwinąłem szkołę".

Strzeliła mi raptem inna myśl do głowy. Lubiałem bardzo teatr i czułem w sobie

niejako aktora, rzuciłem tedy myśl urządzenia amatorskiego przedstawienia. Myśl zamieniła się w czyn. Dictum-factum.

Poszliśmy do smotritiela i dostaliśmy „pozwolenje".

Mieliśmy jakąś nudną jednoaktówkę, ale to było za mało na zapełnienie całego wieczoru – przytem nie byłoby zadowoliło publiczności, złożonej przeważnie z nieoświeconych warstw społeczeństwa. – Trzeba było koniecznie jakiejś sensacyjnej sztuki, lub pełnej komizmu, aby się śmiano i bawiono.

Zebrałem zespół artystyczny z naszego inteligentnego kółka i radziliśmy, kto ma tę sztukę napisać. Wszyscy się wymówili, tandem tedy, nolens, volens, zabrałem się sam do sklepania jakiegoś dziwolągu, ale że mi właśnie tej do tego potrzebnej klepki brakowało – to „strzel w łeb"

nie mądrego wylecieć nie chciało. –

Nie było u mnie tej śmiech budzącej „vis comica", posiadałem jednak sporą dozę bujnej fantazyi, to nareszcie wymęczyłem różnolity zlepek na efekt wyrachowanych scen i ochrzciłem go bombastycznie: „Nieszczęśliwa miłość dwojga kochanków". –

Główną atrakcyę stanowiło obozowisko bandy zbójców w lesie. Zbójcy śpiewali „Czerwony pas", tańczyli kołomyjkę, a działo się to nie na Czarnohorze tylko gdzieś w Abruzzach. –

Epilog według mojego pojęcia świetnie mi się udał. Herszt bandy porywa swoją kochankę, następstwem porwania pojedynek z jej rycerzem, bitwa żołnierzy ze zbójcami, śmierć herszta bandy – pogrom zbójców i tragiczny zgon kochanki.

Zgromadziłem cały personal artystyczny i ten mój utwór sceniczny z patosem przeczytałem.

Aby nie psuć zabawy i nie zrażać mnie w zapale do planowanego przedstawienia, przyklasnęli mi koledzy, chociaż pobłażliwie się uśmiechali. Byli i tacy, którzy mi zarzucali, że to nie ja napisałem, że oni to już „gdzieś widzieli". Pomyślałem sobie, jeżeli ja głupi, to oni stokroć głupsi odemnie, gdy przecież takiej sztuki nie była by się odważyła żadna scena prowincyonalna przedstawić; albo może ja istotnie nie złą rzecz napisałem.

Zachęcony tym poklaskiem, jaki za dobrą monetę przyjąłem, chociaż był to poklask stósownie do przysłowia „na bezrybiu i rak ryba" - rozpisałem role, porozdawałem i zaczęliśmy próby. Rolę kochanki przyjął jeden młodziutki student.

Na tych próbach bawiliśmy się wesoło, a taki nas nieraz pusty śmiech porywał, że

Mostkale wpadali do kaźni i prosili, „smirno gaspoda, pożałujtie, a to rotny komandir rozsierdit sia na jetot szum" (cicho, bo komendant rozgniewał się na ten hałas).

Po wielu próbach i przygotowaniach opublikowaliśmy ustnie dzień przedstawienia.

Zaprosiliśmy smotritiela z rodziną i inwalidów z żonami, od których pożyczyliśmy krasnych rubaszek, ubrania kobiecego i różnych potrzebnych rekwizytów.

Komendant pozwolił także na wypożyczenie karabinów i na strzelanie za kulisami eksplodującemi kabzlami. Było to z jego strony wielkie ryzyko, bo jeden wrogi „donos" o tem do naczalstwa, mógł go posady pozbawić.

Zwijałem się, jak rak w ukropie, bo jako dyrektor, reżyser i aktor musiałem o wszystkiem pamiętać.

W dniu przedstawienia wiara całą hurmą wzięła się do roboty. Ustawiliśmy scenę z tapczanów - kurtyna była z prześcieradeł, a kulisy były spartaczone z papieru, malowane modernistycznie, jak to teraz artyści malują, że z bliska na obraz patrząc, trzeba się dopiero domyślać, czy to góry, czy drzewa, czy wody, czy chmury. I z daleka nie można było widzieć, co te kulisy wyobrażały. -

Dla zaproszonych gości były krzesła - dla naszej wiary amfiteatralnie wzniesione ławki.

Zaledwie mieliśmy czas odbyć generalną próbę w kostyumach, już się P. T. Publiczność schodzić zaczęła i salę po brzegi wypełniła. Muzyka grała polskie pieśni - a mieliśmy muzykę swoją i wcale nie złą.

Byłem w strachu, aby się nie zbłaźnić, poszło jednak wszystko nadspodziewanie gładko.

Zbóje, którzy w „krasnych rubachach" i moskie-wskich czapkach mieli wygląd kacapów, wyli jak ludożercy, a tak chwacko wycinali przysiudy, że Moskaluszkom nogi drygały, aby sobie zatańczyć ich narodowego „byczka". Kochanka tak rozpa-czliwie targała swoje przyprawione kłaki, że o ma-ło co nie zdarła ich sobie z głowy – herszt bandy dziko zawracał oczyma, a rycerz szpadą groźnie wywijał. Strzelanina z kabzli za kulisami grzmiała, jak salwy karabinowe, aż poczciwy smo-triciel bladł ze strachu.

Przedstawienie podobało się – wszyscy bili bra-wo, a ja chodziłem pyszny jak „pawa" jak tam jeden Niemiec mówił.

Planowaliśmy jeszcze przedstawienie powtó-rzyć i to na ogólne żądanie, chociaż nikt nie żą-dał, ale Komendant stchórzył i nie pozwolił.

./.

Wojenny sąd już się zbierał i rozpoczynał przedwstępne przygotowania do sądzenia „poli„tycznych przestępników”.

Nie długo czekaliśmy - na naszą kolej. –

Wzywano do sali sądowej po kilku razem. Przesłuchanie trwało krótko. Był w miatezy, po„szedł dobrowolnie, ujęty został w bitwie - cmdu„sive, jako miatcznik, musi być ukarany. –

Nikt nie myślał nawet o uwolnieniu, albo„wiem w Rosyi nawet zupełnie niewinnych i tylko na podstawie jakiegoś mglistego podej=rzenia lub tajnego doniesienia przez jakiegoś osobistego wroga uwięzionych, porządkiem a„dministracyjnym, bez sądu, bez udowodnienia im winy pędzą w Sybir, gdzie niewinnie cier„pią i zkąd nie prędko, lub całkiem nie wracają. -

Gdy już wszystkich zasądzono, zebrał się sąd w pełnej paradzie - wyprowadzono zasądzonych

na wolny plac - oddział wojska sprezentował broń - zawarczały bębny i obwieszczono nam wyroki. Przeważnie wszyscy skazani zostali do rot aresztanckich.

Nie zrobiło to na nas wielkiego wrażenia - z góry wiedzieliśmy, co nas czeka.

Mnie skazano na trzy lata do rot aresztanckich w Symbirsku, a potem na osiedlenie w Sybir.

Nasze położenie znacznie się pogorszyło.

Zasądzonych traktowano już jako aresztantów, strzeżono surowiej, traktowano brutalnie i kuto w naręczniki (kajdany na ręce).

Z Włodzimierza przypominam sobie jeszcze dwóch dobrych przyjaciół Witowskiego i Wołoszynowskiego. -

Wkrótce po wyroku wywieziono nas do Niżnego Nowogrodu.

/.

W Niżnym Nowogrodzie, gdzie się odbywają słynne światowe jarmarki, dokąd kupcy nie tylko z najodleglejszych stron rozległego państwa rosyjskiego, ale i z innych krajów tłumnie przybywają, oznajmiono mi, że mam iść do legendarnie strasznych, rzekomo w całej Rosyi najgorszych rot aresztanckich w Permie.

Permska gubernia jest przepołowiona, właściwie przedzielona górami Uralskiemi.

Większa jej połowa z miastem gubernialnem Perm leży w Europie, mniejsza z miastem Jekaterynburg w Azyi.

Stósownie do wyroku miałem zobaczyć Perm dopiero po trzech latach odbytej kary w Symbirskich rotach aresztanckich. Przybliżono mnie do Sybiru około dwa tysiące wiorst od rodzinnego kraju i to dlatego, że moje „bumagi" (papiery) zaginęły i nie wiedziano, dokąd wyrokiem Włodzimierskim

jestem przeznaczony.

I tu mnie prześladowczy pech doścignął i do dziś dnia nieubłaganie ściga.

W Niżnym Nowogrodzie wtłoczono nas do etapnego budynku, jak śledzi do beczki. Każdego niemal dnia przybywały nowe partye. Dla braku miejsca zrobiono w etapnych norach rusztowania, na które trzeba się było po drabinach windować. Na tych karkołomnych rusztowaniach rozłożyliśmy się pokotem. Było to niebezpieczne legowisko - trzeba było bardzo uważać, jak się wychodziło i schodziło, bo można było łatwo spaść i skręceniem karku Moskali ucieszyć. Groziło także niebezpieczeństwo zawalenia rusztowania pod naciskiem takiego ciężaru.

Z Niżnego Nowogrodu nie było już dalej połączenia kolejowego. Transporto-

wano nas do Kazania etapami - z Kazania do Permu wodą.-

Nie pamiętam dobrze miesiąca, w którym ruszono nas z Niżnego Nowogrodu. O ile mi się zdaje, mógł to być miesiąc Maj.-

Jak taki pochód etapami fizycznie i moralnie więźnia torturuje, tego ten nigdy nie pojmie, kto tak nie szedł, kto tych mę„ czarni nie przebył.-

Przodem w awangardzie szli „Kandal„ szczyki," skazani za ciężkie zbrodnie do katorgi. Ci mieli kajdany na nogach i dzwonieniem łańcuchów dawali znać o zbliżaniu się par„ tyi do miasteczka, lub do wsi. Aby w razie ucieczki mogli być łatwo poznani i schwy„ tani, golą im połowę głowy z boku lub z przodu - połowę brody i połowę wąsa.- W środku szli skazani do rot aresztanckich

polityczni i pospolici przestępcy. Ci byli skuci za ręce po sześciu - często polityczni razem z bradiagami, za tymi szły kobiety i dzieci. Podwody wiozące „dwarjan" (szlachtę) oraz podwody z „bolnymi" (chorzy) i z „wieszczami" (rzeczy) zamykały pochód. -

Dwarjanom przysługiwały wyjątkowe prawa. Jechali, nie byli skuci, na etapach byli osobno umieszczeni i pobierali dziennie 15 kop. „karmowego" (strawne).

Partya była konwojowana przez wysłużonych starych inwalidów, którzy mieli karabiny odwiecznego systemu, jeszcze z czasów Katarzyny. Śmiało można powiedzieć, że w istocie rzeczy żadnej siły nie stanowili. Wlekli się, jak maruderzy i gdyby ich było można tylko nastraszyć, byliby pewnie broń rzucili i „pamiłuj batiuszka"

ze strachem prosili – ale sama myśl wydobycia się na wolność z tych odwiecznymi lasami po„krytych, nieznanych krain, była szaleństwem.

W Kielcach, Lisowiecki, obywatel ziemski z Niegłowic w Jasielskiem, doradził mi nie podawać się przy protokole za szlachcica; aby mnie w głąb Sybiru nie zapędzono.

Usłuchałem i źle zrobiłem.

Teraz z powodu zagubienia papierów, powiedziałem, że jestem dworjanin i zapisa„no mnie jako takiego. Dostawałem dwo=rjańskie karmowe 15 kop. dziennie, ale nie=wiem dlaczego, osobnej podwody nie miałem i osobno mnie na etapach nie umieszczali.

Przyjął mnie na swoją podwodę ko„lega ze szkół i z obozu Mieczysław Szymberski.

Był to złoty chłopiec, niezwykle serde=czny i przyjacielski.

Tak mi się zdaje, że do samego Kazania nie jechałem, jednakże dopóki jechałem, a nie szedłem skuty, nie zaznałem jeszcze tych wszystkich męczarni, jakie później nastąpić miały.

Najgorzej było na etapach, bo gdy partya była tak liczna, że etapne, szczupłe nory pomieścić jej nie mogły, to trzeba było przemocą zdobywać sobie miejsce, aby módz się położyć.

Kajdaniarze, idący przodem, wpadali pierwsi zwartym murem do zabudowania etapnego i zajmowali miejsca na tapczanach. My zmuszeni byliśmy kłaść się pod tapczanami, na gołej, wilgotnej podłodze, często na ubitej glinie, lub na cegłach, w brudzie, niechlujstwie, wśród rojów dokuczliwego robactwa, w takiem niewypowiedzianie smrodliwem, duszącem powietrzu, że można

było, jak to mówią, „siekierę powiesić”. Trudno było oddychać.

Nad nami na tapczanach leżeli pospolici przestępcy - najgorsze szumowiny i męty ludności różnej narodowości - mordercy, podpalacze, złodzieje, słowem ohydni zbrodniarze. Ogółem nazywano ich „bradiagami”. -

Jak się oni przyzwoicie zachowywali, jaką przyjemną wonią powietrze zatruwali, jakie oni cyniczne, wyuzdane, wstrętne rozmowy prowadzili, jak się z popełnionych zbrodni przechwalali, to brak wyrazów do wysłowienia tej odrazy, tego jakiegoś lęku, jaki nas ogarniał i mimo spotęgowanego znużenia zasnąć nie dozwalał.

/.

Po latach pięćdziesięciu trudno mi jest opisać to wszystko, co się przebyło, co się widziało i słyszało, co się przecierpiało.

Pomnę, żeśmy przechodzili przez dziewicze lasy, przeprawiali się przez wezbrane rzeki, a zawsze głodni, zmęczeni, często zmoknięci przychodzili na nocleg do etapów, gdzie na różnego rodzaju tortury byliśmy wystawieni

Przechodziliśmy przez „dierewnje” (wsie) różnych szczepów - i ludów, jak Czeremisów, Czuwaszów, Tatarów...

Kobiety Czeremiski i Czuwaszki ubierają się prawie jednakowo, jak mężczyźni: Noszą krótkie katanki z szarego, grubego sukna, bardzo bufiaste szerokie spodnie płócienne, jak spódnice, na nogach łapcie, okręcone do kolan sznurkiem. W zimie noszą kożuchy. Kobiety noszą w uszach zwiesza-

jące się aż do ramion kolce, kształtu trójkątne-go, składające się z przedziurawionych srebrnych monet - mają także napierśniki pokryte takie-mi monetami. Bogatsze mają całe piersi błyszczące srebrem jak pancerze, a i złotych monet nie brak.

Urodą nie grzeszą - niskiego wzrostu, rozrosłe wszerz, twarze szerokie, brzydkie. Chaty są kurne, brudne - mieszkania niechlujne. Jest to rasa Finów - mówią swym własnym językiem. Mężczyźni mówią źle po rosyj-sku, kobiety rosyjskiego języka zupełnie nie rozumieją. Te dwa szczepy Czeremisy i Czu-wasze mają swój odrębny język - jedni z drugi-mi porozumieć się nie mogą.

Oficyalną religią jest prawosławna. Chodzą do cerkwi z musu, albowiem boją się policyi i popów, wyzyskiwania ich przez

tychże, kar, prześladowania i grabieży mienia. Tajemnie modlą się do swoich bożków, które przed szpiegowskiem okiem popów, z zachowaniem wszelkich ostrożności, ukrywają. -

Natrafialiśmy także na wsie starowierców. Ta sekta jest w Rosyi bardzo liczna. Mają swój odrębny kult religijny - modlą się do swoich bogów. Muszą się z tem kryć, gdy oficyalnie są prawosławni. Do cerkwi chodzić zmuszeni, mają tę przymusową religię i popów w pogardzie.

Żyją w dobrobycie, bo wódki nie piją i tytoniu nie palą. Pijących i palących uważają za nieczystych i pogardliwie ich traktują. Ponieważ prawosławni popi po wsiach są przeważnie pijacy, to często się zdarza, że pijanego popa za drzwi wyrzucają. Chociaż w gruncie rzeczy są poganami, jednakże ich etyka zawstydza wyznawców religii Chrystusowej. -

Są uczciwi, miłosierni, a dla tych, którzy ich szacunek i zaufanie przysłać umieli, serdeczni i gościnni. Moskali mają za nieczystych, nie wchodzą z nimi w żadne przyjazne stosunki i od nich stronią. —

Bliżej Kazania są wsie tatarskie. —

Gdy na etapach zabrakło miejsca, nocowaliśmy u Tatarów, mieliśmy więc sposobność przypatrzenia się ich życiu. Tatarzy mają po kilka żon, a te zmieniają się kolejno w wykonywaniu swoich obowiązków. Wybranej do wspólnego łoża muszą wszystkie inne słuchać - ona jest panią domu i rozkazuje. Im Tatar bogatszy, tym więcej ma żon. —

Nocowaliśmy raz u zamożnego Tatara, który miał siedem żon. Kilka spało razem z nami na ławkach okalających izbę.

Moskale przestrzegali nas, aby nikt się nie ważył której zaczepić, bo, jak mówili „ chudo budiet - Tatariny ubijut" (będzie źle - zabiją). —

Tatarzy wyznają religię Mahometa - głowy golą, wódki ani wina nie piją - wyrabiają je „ dnak z kobylego mleka upajający kumys.

Dbają bardzo o czystości ciała. Do wychodków chodzą zawsze ze stopkiem z wodą. —

Moskali nie cierpią, ale się ich boją. Do jarzma niewoli już tak przywykli, że o powstaniu ani myślą. Zapytani, dlaczego na Moskali nie ruszą, kiedy byli niegdyś wolnym, wojowniczym narodem, przed którym ludy Europy drżały, a Księstwo Moskiewskie było długi czas pod panowaniem ich chanów, odpowiadali dziecinnie, że boją się, aby ich w skórę nie bito. —

Przypomina mi się w moim pochodzie

tym szlakiem kilka komicznych epizodów.

Przyszliśmy raz na nocleg do jednej wsi, zamieszkałej przez starowierców, gdzie etap był tak szczupły, że licznej partyi pomieścić nie mógł. Nas politycznych rozlokowano we wsi po domach.

Usiadłem na słomie, rzuconej nam na posłanie i przypatrywałem się ciekawie, jak cała rodzina „chazjaina starowiercy" (gospodarza) wyławiała z wielkiej miski jakieś wielkie czarne kluski. Bawiło mnie to. Zwróciło to uwagę dość jeszcze urodziwej „chazjajki" (gospodyni), że się tak bacznie przypatruję i myśląc może, że ja się tak „w nią wlubiłem", lub że ja te kluski tak pożądliwie ścigam oczyma, wstała od stołu i to wszystko, co jedzącym z brody na stół spadło, ręką do miski zgarnęła i mnie przyniosła zapraszając „Kuszaj gałubczyk".

Rozśmiałem się na to i wymówiłem się

od takiej pysznej uczty „błagodarieniem" (po-
dziękowaniem), „czto nie gałodnyj". –

Potem jeszcze, ułagodzony łapówką Moskal,
przyniósł nam wódki. Każdy tyknął z fla-
szki i ułożyliśmy się do snu.

W tej izbie był ogromny piec, a za piecem
obszerne miejsce, gdzie mogło kilka osób spać.
Wogóle po wsiach w Rosyi śpią w zimie na
takich zapieckach.
Na takim zapiecku położyła się „krasjiwa"
docz (córka) gospodarzy. Konwój trzymał
straż w drugiej izbie, gdzie także spali gospo-
darze.

Niejaki Czesławski Galicyanin zaostrzył
sobie apetyt na ten „zakazany owoc" i po ci-
chutku wlazł za piec.

Dziewczyna przestraszona narobiła krzy-
ku: „matuszka, świeczku, Polak u mienia"

Z hałasem otwarły się drzwi, wpadł do izby konwój, a za nim w bieliźnie ze światłem, córki krzykiem przerażeni rodzice. –

Sprawca tej erotycznej awantury drapnął ze strachem na swoje posłanie i udał w twar„dym śnie pogrążonego – my także niby twardo spali.

Świecili każdemu do ócz, przyglądali się, trącali nas, ale my w strachu, aniśmy się nie ruszyli – „spaliśmy, jak zabici".

Ostatecznie zabrali dziewczynę i wszyscy się wynieśli. Słyszeliśmy jak kacapi mó„wili „wot, czto wodka zdiełała" (co wódka zrobiła).

Na drugi dzień rano, gdyśmy już wycho„dzić mieli, przyszli kacapi, a widząc mnie ich widokiem rozśmieszonego, przyszli prosto do mnie – „Wot, czto wodka zdiełała, skaży, wiernojetno ty". Zaklinałem się, że nie ja.

„Nu, a kto, gawori". Już mnie to rozzłościło i zły wrzasłem „czort znajet kto, Jej Bohu, czto nie ja, niczewo nieznaju".

Nie uwierzyli, bo gdy już wychodziłem, Kacapka, co mnie tak serdecznie na kluski zapraszała, jeszcze mi mówiła „koniecznoje ty" a starowierca kiwał głową i mówił swoje „wot, czto wodka zdiełała".

Moskale się śmiali.

/.

Z Niżnego Nowogrodu do Kazania jest 400 wiorst. Zrobiliśmy tę drogę w trzechtygodniach.

W Kazaniu umieszczono nas w tiuremnym zamku, w którym dzikie twarze zbrodniarzy strachu nam napędziły, a nieustanny brzęk kajdan złowieszczą muzyką uszy

niemile raził.

Mówiono nam, że ci zbrodniarze dla ra-
bunku mordują we wychodkach. Baliśmy
się nawet na kurytarz w pojedynkę wycho-
dzić i zawsze tylko kilku razem nas się zbie-
rało.

Nie pomnę już w którym ostrogu by-
łem wówczas, gdy Karakozow urządził zamach
na cara Aleksandra II go. Dobrze pamiętam,
że gdy jak zawsze, tak i wtenczas, obwiniono o
to Polaków, to więzieni zbrodniarze ostrzy-
li na nas noże i odgrażali się, że nas wszystkich
wyrżną.

Kazań niegdyś stolica Kazańskich Tatarów
ma ludność przeważnie tatarską. Pamiętam
dobrze jakiś ogromny historyczny pomnik, li-
czne meczety - uniwersytet - zakwefione, wyró-
żowane tatarskie piękności - a szczególnie

utkwiły mi w pamięci na rynku Kazańskim ogromne stosy sztucznie w kształtne piramidy ułożonych kawonów, na których szczycie siedzieli Tatarzy w długich chałatach i spiczastych czapkach.

Kawony są tam bajecznie tanie.

Niedługo nas tu trzymano. Zawołano do odbioru rzeczy i pytano każdego, „czto nużno (co potrzeba). Odpowiadaliśmy „wsio nużno".—

To „wsio" znaczyło: „chałat" (rodzaj szlafroka), „połszubek" (krótki kożuch), „sztany" (spodnie), „podsztanniki" (kalesony), „rubachy" (koszule), „katy" (płytkie trzewiki), „onucze", baszłyk i rękawice z waryszkami (skórzane rękawice o jednym palcu, wewnątrz drugie bawełniane) w końcu „mieszok" na rzeczy.

Administracya rządowa w Rosyi jest

bezprzykładnie zabagniona. Z góry na dół wszyscy kradną.

Komisya zasiadająca przy wyprawianiu więźni i wydawaniu rzeczy trzyma się za ręce. Wydane rzeczy figurują w spisach a faktycznie wydane nie zostały. Sprzedają je i dzielą się tą grabieżą na ruble zrealizowaną.

Każda gubernia winna była przeprowadzić kontrolę, czy przybyli więźniowie mają te w spisach uwidocznione rzeczy, nikt jednak tego nie sprawdzał, bo śledztwo w tej sprawie wykryłoby ich kradzieże i pozbawiłoby ich ładnych dochodów, potrzebnych szerokiej rosyjskiej naturze na „pagulanie" (hulanka) na karty, pijatyki i na „dziewuszki". —

Było takich wielu, którzy wiedząc o tych nadużyciach czynownictwa moskiewskiego sprzedawali w drodze odzież, a w następnem mie

ście gubernialnem znowu nową brali.

W każdej niemal gubernii chałaty są szare - w Kazaniu były czarne. Z tyłu na plecach wszyty jest as - kwadrat ze sukna innego koloru, jako znamię więźnia. Te asy w każdej gubernii mają inną barwę, a to w celu, aby przy schwytaniu zbiegłego więźnia zaraz wiedzieć, z której gubernii uciekł.

W Kazaniu są te asy koloru czerwonego.

Jak wystroiliśmy się w te czarne chałaty, w szare szerstkie czapki z klapami na uszy, w płytkie, bezksztaltne „katy", wciągnięte na onuce z grubego brązowego sukna, przewiązane szpagatem aż do kolan, nie mogliśmy się poznać. Wyglądaliśmy tak komicznie, że ta niewesoła maskarada, wesoło nas usposobiła. -

Między oficerami prowadzącymi więź-

źniów byli przeważnie tacy, którzy w putku coś przeskrobali i szli „w duraki" - na etapy.

Byli to nałogowi pijanice, szulerzy, złodzieje, słowem ludzie z jak najgorszą przeszłością - moralnie upadli.

Nie mogąc na takim pustkowiu hulać po dawnemu, stawali się źli, mściwi, okrutni.

Czując swoją władzę nad bezsilnymi więźniami i nie obawiając się żadnej odpowiedzialności, mścili się na więźniach, brutalnie ich traktowali, nielitościwie dokuczali i ze zwierzęcem okrucieństwem pastwili się nad swojemi ofiarami.

„Nulla regula sine exceptione" więc i tu były wyjątki. Trafialiśmy na takich komendantów etapnych, że wdzięczni im byliśmy za uczciwe, łagodne i wyrozumiałe obchodzenie się z nami.

W Kazaniu etapnym Komendantem był cie=kawy okaz „nastojaszczawo stupajki”.
Jego usiłowania dokuczania nam wywoływały powszechny śmiech, co go do wściekłości dopro=wadzało i jeszcze więcej ośmieszało.
Gdy nas już ten śmieszny oficerzyna pod swo=je opiekuńcze skrzydła zagarnął, raz i drugi po=rachował i przelustrował, kazał konwojnym za=łożyć nam bransoletki na ręce. Gdyśmy prze=ciw temu jednogłośnie zaprotestowali, zakomen=derował „zarazitj rużjo” (nabić broń). Konwoj=ni odkrzyknęli „zarażeno Waszu Błahorodie” (już nabita). „Zarazitj jeszczo raz” (jeszcze raz nabić) wrzasnął, pieniąc się ze złości.
„Siej czas, zakowatj” (natychmiast zakuć) krzyczał, widząc, że się z niego i podkomendni śmieją. Musieliśmy ustąpić.
Ten rycerz konwojował nas tylko do

przystani na Wołdze, gdzie już czekał na nas gotowy do drogi ogromny parowiec, do którego niezwykłej grubości liną przymocowana była barka z masztami i żaglami. —

Na tej barce odebrał nas pod straż silny oddział wojska z nabitą bronią. Na parostatku znajdował się prowadzący partyę jenerał z oficerami i załogą parowca. Na barce była kuchnia i magazyn żywności.

Jechaliśmy dzień i noc - zawijano tylko na czas krótki do przystani, dla nabrania wody do picia i zakupienia żywności.

Podróż więźni parowcem nie należała do przyjemności. Tym, co byli w kajucie było ciasno i duszno, zaś rozmieszczonym na pokładzie lało się za kark. W nocy było zimno, bo noce były wietrzne, chłodne, chociaż dnie były piękne i ciepłe. Musiał to być już koniec kalenda=

rzowej wiosny.

Ja umieściłem się w budce strażniczej, stojącej na pokładzie. Jak się w niej położyłem, głowa była w budce, a nogi na pokładzie.

Pamiętam jednej nocy zerwała się szalona burza. Barka, miotana siłą rozszalałego żywiołu, kołysała się w jedną i w drugą stronę, a maszty chwiały się straszliwie i trzeszczały. – Świst i szum rozkiełznanej wichury, trzask masztów, kołysanie się barki, krzyki żołnierzy, oraz przeraźliwie huczące tuby, przez które szły nieprzerwanie rozkazy z parowca i raporty z barki – wszystko to sprawiało jakąś piekielną kakofonię.

Wcisnąłem się do mojej budki, a że pierwszy raz w życiu byłem świadkiem

takiej grozy na statku, więc podniecona wyobraźnia snuła grobowe obrazy rozbicia i straszną śmierć w nurtach spienionych wód. —

Skończyło się wszystko na strachu.

Rankiem zajaśniał cudownie piękny dzień. Jechaliśmy szybko, zachwycając się prześlicznymi widokami brzegów rzeki Kamy, która niedaleko za Kazaniem do Wołgi wpada.

Brzegi Kamy są nadzwyczaj malownicze, przeważnie lesiste. Ciemnozielone dziewicze bory roznoszą w powietrzu aromatyczny zapach kwiatów i ziół leśnych, co jak wzorzyste kobierce, przepięknymi obrazami wspaniałej przyrody w zdumienie, w zachwyt wprawiają.

Na brzegach całe stada dzikich kaczek, nurków, czajek, czapli i różnego innego ptastwa, spłoszone zbliżaniem się parowca, zry-

127

wały się z piskiem i z krzykiem i nikły w nieprzebytych gąszczach lasów. Na leśnych polanach pasły się sarny, ale już snać przywykły do tego ciągłego ruchu na wodzie, bo spokojnie głowy podnosiły i swojemi łagodnemi oczami na płynące statki patrzyły.

Nadbrzeżne wsie są nieliczne – lud dorodny, silny – kobiety urodziwe – jaskrawo ubrane – jak kwiaty na łąkach różnobarwne.

Rzeka jest spławna – cały handel prowadzi się wodą. Mnóstwo parowców, barek i ogromnych łodzi, obładowanych różnorodnym towarem, kursuje po Kamie.

Jednej nocy osiadła nasza barka na mieliźnie. Długo pracowano bezskutecznie, aby barkę ruszyć. Podczas tego zamieszania, tej bieganiny, tych przekleństw i krzyków pracującej załogi, obiegały szeptem jakieś

tajemnicze wieści, że chcą nas potopić — a znaleźli się tacy, którzy tym wieściom uwierzyli i do obrony, do rzucenia się na załogę w obronie życia, wzywali. Byli to szaleńcy.

Historycznym faktem jest, że kiedyś tam, za czasów Konfederacyi Barskiej, wsadzono polskich jeńców na barkę z ruchomem dnem, i wszystkich utopiono — może to ci szaleńcy przypomnieli i straszną katastrofę wywołać usiłowali. —

Odetchnęliśmy swobodnie i Bogu podziękowali, gdy nareszcie parowiec przeraźliwie zagwizdał i barka ruszyła.

Jednego dnia usłyszeliśmy głos tuby „Polaki buntujut sia". Powstał ogólny popłoch. Moskale biegali w około barki, jakby ich osy pokąsały i bacznie się nam przypatrywali. Wszyscy w trwodze pytali,

co się stało. Dowiedzieliśmy się, „że Palak uda-
rił powara w mordu i uszoł" (dał Kucharzowi
w pysk i uciekł), a teraz „iskajut (szukają)
jetowo sukinsyna". —

Dusza poszła w pięty, jak to mówią, gdy
spoliczkowany Moskal, widząc mnie stojącego
w budce, zatrzymał się i wpił we mnie ubezwła-
dniający wzrok bazyliszka. Towarzyszący mu
untier (podoficer) zapytał: „nu, a czto, naszoł
li maszennika" (czy znalazł łajdaka).
Oniemiałem z przerażenia, bo na pokładzie
leżał stos rózg i już w rozbudzonej imaginacyi
widziałem się rzuconym na ziemię i katowanym.

Wróciła dusza z pięt, gdy usłyszałem „du-
mał, czto on, niet, jeto ne on, tolko jedinaa-
braznyj" (podobny).

Na parostatku zrobił się ruch. Spuszczo-
no łodzie i cała starszyzna przypłynęła

do barki. Jak tylko weszli na pokład, idący przodem jenerał, zwyczajem azyatyckich satrapów, nie wiedząc jeszcze, co zaszło, wskazał na pierwszego z kraju i krzyknął: „wziatj jewo."

Położyli Bogu ducha tylko winnego i bili. Tak zbito kilku innych zupełnie niewinnych.

Stałem trwożnie w mojem schronisku, a jęki i krzyki niewinnie katowanych mroziły mi krew.

Czy winowajcę wykryto, nie pamiętam.

Z Kazania do Permu jest tysiąc wiorst wodą. Przybiliśmy do przystani w Permie coś niespełna w dziesięciu dniach, to robiliśmy na dobę więcej niż sto wiorst.

Miasto gubernialne Perm leży nad Kamą w ładnej okolicy. Prowadzi rozległy handel nierogacizną, więc nie jest czyste.

W Permie umieszczono nas zaraz w are-

sztanckich rotach. Tu powinniśmy byli do-stać pościel, która się nam jako już zasą-dzonym prawnie należała, ale fundusze na to przeznaczone topniały w złodziejskich „karmanach" (kieszeniach) czynowników – prismo bezo w kieszeni smotritiela rot.

Całe miesiące jeszcze potem upominaliśmy się o sienniki, zawsze naprózno.

Trzeba było znowu na gołych deskach odgniatać zbolałe kości i męczyć się.-

Smotritiel, był to stary oficer z Mikołaja-owskiej armii, czciciel knuta i nahajki. U niego musiało być „wsio po ukazu". Kazał nas zaraz krótko ostrzydz i „bryt'j" (golić), jeżeli kto miał zarost. Nie wolno było mieć żadnej książki, papieru, ołówka, nie wolno było mieć pieniędzy i surowo było zakazane palenie tytoniu. „Kurit'j nie źwia" przypominał często nasz srogi Cerber- Zwał się Prosiołkin.

Ciągle były rewizye – wszystko zabierano, co tylko znaleziono – pomimo to namiętni palacze przemycali do kaźni tytoń i ukrywali w dobrze obmyślanych schowkach. Ten tytoń, zwany „machorką" był tak silny, że jedno zaciągnięcie się papierosem, skręconym z jakiegobądź kawałka znalezionego papieru, zawrót głowy sprawiało i odurzało. –

„Od głowy ryba cuchnie". Jakim był Komendant, takimi byli jego podwładni – nasi anioło-wie stróże – Obchodzili się z nami brutalnie, chociaż byli i tacy, którzy tylko z obawy „wygawory" od komendanta pozorną surowość okazywali.

Na każdego aresztanta wyznaczone było tylko 3 kop. dziennie, a z tego jeszcze połowę skradli, można więc sobie wyobrazić jakość strawy. Prawda, że produkty spożywcze były bajecznie tanie – funt mięsa kosztował 3 kp. – chleb żytniom-ski można było dostać za kopiejkę – ale zawsze

była to nieludzkość ze strony odnośnych władz, wyznaczać tak nędzne strawne.

Nie będę spisywał, jak ohydnie nas żywiono, bo już o tem poprzednio szczegółowo pisałem, ale wspomnieć chcę, że chleb sprzedawaliśmy za bezcen Kacapom dla koni, a nawet konie jeść go nie chciały. –

Wodę do kuchni i do „bani" musieliśmy sami z pobliskiej Kamy wozić, gdyż konia nie było. Dobrze namęczyliśmy się, nim beczkę z wodą wyciągliśmy pod górę.

Jednem słowem, potrzebnie nasze stały się nieznośne, nie do wytrzymania.

Wydano nam aresztanckie ubranie i posyłano na roboty.

W niedługim czasie po przybyciu do rot uczułem się słabym. Myślałem, że to przejdzie, ale gdy z każdym dniem stawałem się słabszym,

gdy już ani jeść, ani chodzić nie mogłem, zameldowałem się „bolnym" i potaszczono mnie do „uważnej Permskiej bolnicy" (straszny szpital).–

W różnych pamiętnikach z niewoli moskiewskiej, jednozgodnie wszyscy podają, że szpital Permski należy do najbardziej niechlujnych, obrzydliwych, wprost strasznych. W Permie tysiące chorych więźni umarło przeważnie z powodu o pomstę do nieba wołającego niedbalstwa i złodziejstwa odnośnych władz. Fundusze przeznaczone na szpital, czynownicy przepijali i w karty przegrywali. Chorzy byli źle leczeni, źle odżywiani, źle obsługiwani i pod każdym względem zaniedbywani, a niechlujstwo w szpitalu było karygodne. Dlatego była tak liczebnie zastraszająca śmiertelność..

Nie mijam się z prawdą – spisuję fakta.–

W ciasnych, niemożliwie brudnych, cuchnących

izbach mieścili się razem polityczni przestępcy i bradiagi, chorzy na różne zaraźliwe choroby, przeważnie na tyfus, który w Permskim szpitalu epidemicznie grasował. Nie było prawie dnia, aby trupa nie wynoszono, a tak się już z tem posługacze szpitalni oswaskali, że przy wynoszeniu nieboszczyka cynicznych żartów sobie pozwalali.

Jak trupa wynieśli, nie zmieniano pościeli, tylko zaraz kładli na tę samą pościel innego chorego, a ten zarażał się i umierał.—

Była to ohydna zbrodnia, na którą w kodeksie karnym niema paragrafu, za którą tylko Bóg karze. Takich zbrodniarzy, którzy Polaków katują i mordują „miłostiwyj gasudar" krzestami obdarza.—

To samo ubranie szpitalne, jakie z umarłego zdjęto, dawano jego następcy. Ubranie to było obrzydliwe, cuchnące, krwią i pluoci-

nami licznych nieboszczyków powalane. –

Moskal powiada: „nieczewo brat nie zdiełasz, do Boha wysoko, do cara daleko”. Nie można było nic zrobić, nigdzie się użalić, nigdzie na te okrucieństwa skargi zanieść. –

Posługacz szpitalny, stary, wysłużony inwalid, zwany w szpitalach „diadjka”, przyniósł mi brudną bieliznę, brudny, śmierdzący chałat, stoczone pantofle i kazał się ubrać. „Pan odiewatj sia”. Ubrałem się – moje rzeczy wziął do magazynu. –

Widząc te obrzydliwe brudy i te różnobarwne plamy na pościeli, słysząc te jęki śmiertelnie chorych, owładnął mną niewysłowiony strach. – Byłem pewny, że się zarażę i umrę. –

Uczułem, że słabnę i tracę przytomność. „Pan łożysia” upominał mój diadjka. Położyłem się i rozglądnąłem się po małej celce.

Naprzeciwko mnie leżał młody powstaniec, śmiertelnie chory na tyfus. Majaczył w malignie, oczy błyszczały mu fosforycznie, zrywał się z łóżka, ciągnął za sobą koc, którym był przykryty - chciał u„ ciekać... może do swoich, do drogich mu istot - tam.. daleko... w ojczystym kraju. -

Pod noc dostałem gorączki i paliło mnie ogrom„ ne pragnienie.

Na drugi dzień rano przyszedł lekarz Nie„ miec - przypatrzył się, wziął za puls, kazał poka„ zać język, coś tam zapisał i poszedł drugich tak samo konsultować.

Tak było przez kilka dni. Moja choroba, a był to tyfus brzuszny, z każdym dniem wię„ cej się potęgowała.

Polski męczennik pasował się ze śmiercią, ale kogo śmierć w swoich objęciach trzyma, tego już nie puści. Umarł biedak i nikt

za nim nie zapłakał.

Jeszcze dobrze nie zastygł, już go wynieśli i już innego chorego na jego łóżko położyli – albowiem chorych przybywało, a miejsca dla nich nie było.

Jakoś w dalszym ciągu mojej choroby musiał doktór pewną sympatyę dla mnie uczuć, bo już dłużej mnie badał i nakazywał diadjce, aby mnie pilnie obsługiwał. –

W pierwszych dniach mogłem jeszcze utrzymać się na nogach. Słysząc przekleństwa posługaczy szpitalnych, gdy śmiertelnie chorzy podnieść się nie mogli i pościel walali, z obawy, aby i mnie tak nie przeklinano, wychodziłem na korytarz „do wietru". W drzwiach stał żołnierz z nabitą bronią i z nasadzonym bagnetem, aby „bolnoj nie uszoł" a ten „bolnoj" ledwie się wlókł.

Tak być musiało „po ukazu". –

Później, gdy już tak źle ze mną było, że się już ruszać nie mogłem i mnie mój diadjka komplementami moskiewskiemi zasypywał, przyznać jednak muszę, że mnie pilnował. –

Miałem jeszcze kilka rubli, więc zawsze dawałem mu po kilka kopiejek za usługi. To go do mnie przywiązało. Jak to już o tem wspomniałem, paliło mnie ogromne pragnienie. Gasiłem je zimną limonadą, którą chciwie piłem. To mnie chłodziło i dobrze mi robiło.

Na cytryny i cukier dawałem zawsze pieniądze, które chowałem pod poduszkę. Podpatrzyli to chorzy złodzieje i pieniądze ukradli. Zostałem bez grosza i straciłem łaskę u diadjki. Użaliłem się doktorowi na tę kradzież. Przyszła jakaś komisya – pytali mnie wiele miałem pieniędzy – na kogo mam podejrzenie.

Nie mogłem na to stanowczo odpowiedzieć

albowiem będąc chorym, nie liczyłem pieniędzy, więc nie wiedziałem, ile miałem, a z obawy zem-sty bałem się rzucić podejrzenie na złodziei. Skończyło się na niczem - pieniądze przepadły.

Powszechnie głoszono, że w szpitalach, śmier-telnie chorych, poduszkami duszono. Fakt, że Witolda Witowskiego z Jasielskiego, ucznia uniwer-sytetu Jagiellońskiego, w jednem z miast Sy-biru, w szpitalu, chorego śmiertelnie, poduszka-mi zaduszono. —

Ciągle mi się zdawało, że mnie zaduszą. Ta straszna myśl moją chorobę spotęgowała. Ostatecznie doszło już do tego, że zacząłem stygnąć - ręce do ramion, a nogi do pasa by-ły zmartwiałe, zimne jak lód.

Wiedziałem, że tyfus brzuszny, to choroba śmiertelna - czułem więc, że jakaś tajemni-cza groza zbliża się ku mnie, że coś strasznego

ze mną się stanie.–

Miałem z domu moje relikwie – medaliki od drogiej matki – od sióstr – te trzymałem w rękach i modliłem się.

Rozmaite wizye, przeróżne obrazy z całego mojego życia wirowały koło mnie. Zawsze widziałem koło siebie moją najlepszą matkę płaczącą i o moje wyzdrowienie modły do Boga zanoszącą.

Może istotnie moja matka miała jakieś przeczucie grożącej mi śmierci i modliła się o pomoc do Nieba – gdyż prawie cudem wyzdrowiałem.

Gdy już choroba się przesiliła i zacząłem pomału przychodzić do zdrowia, powiedział mi doktór, że już był zwątpił o mojem życiu i nie miał żadnej nadziei uratowania mnie. Widocznie cieszyło go to, że mnie wydarł śmierci.

Jak długo w szpitalu leżałem, nie pomnę.–

Opuszczając pamiętny szpital, pożegnałem zacnego eskulapa i mojego diadjkę i wróciłem do rot.

Byłem jeszcze jakiś czas rekonwalescentem. Nie używano mnie do cięższych robót, musiałem jednak kaźnie zamiatać, wodę do kuchni nosić, kartofle skrobać i spełniać rozkazy prostych sałdatów, co było dla mnie rzeczą arcyniemiłą.

Kiedy już zupełnie do zdrowia przyszedłem, chodziłem razem z towarzyszami niedoli ulice zamiatać, w ogrodach robić, a z nadejściem zimy śnieg zgarnywać, wózkami wywozić, drzewo rąbać i w mieście nieczystości uprzątać.

Nazwiska moich kolegów wypadły mi z pamięci, pamiętam tylko Opaka, reste Szafrańskiego, Erazmusa i Frydryka Rydygiera, handlowca z Kielc, z którym ścisłą przyjaźń

zawartym, i którego podobiznę posiadam.

Silnych i zdrowych brano do bicia pilotów kafarami przy jakiejś budowie, do czyszczenia kanałów, wogóle do ciężkich robót. Pracowali oni w krwawym pocie czoła, w trudzie i znoju, a przy nędznej strawie siły tracili, chorowali i szli do szpitalu. Przychodzili z roboty zbiedzeni, zmęczeni i strasznie biadali. —

Z wiosną r. 1865 rozpoczęły się roboty kolei żelaznej z Moskwy do Tuły i Orła.

Przyjechał jenerał Sinielników, który miał udział w przedsiębiorstwie tej budowy i werbował ochotników, a także brał przy-

musowo.

Sinielników miał reputacyę prawego, uczciwego Moskala. Z nami zawsze bardzo przyjaźnie rozmawiał i ubolewał nad naszą niewolą. —

Historycznym faktem jest, że Rogiński, naczelnik oddziału na Podlasiu, natknął się w lesie na karetę, w której jechał Sinielników i wiózł 30000 rs. rządowych pieniędzy.

Rogiński puścił go wolno, zażądał jednak od niego słowa honoru, że przeciw Polakom walczyć nie będzie. Honorowy jenerał dotrzymał słowa. —

Z jesienią przyszły zagubione papiery i nas kilkunastu politycznych przyłączono do partyi pospolitych zbrodniarzy i wysłano w drogę do Symbirska. To wyzwolenie się nasze z pamiętnego miejsca srogiego

wcisku przyjęto nas wielką radością.

Tej powrotnej drogi z Permu do Kazania już nic nie pamiętam – Wieziono nas pewnie etapami, bo przypominam sobie, jak przeszedł przeprawę na łodziach przez rozlaną jak morze Kamę, pod miasteczkiem Czeboksary i szaloną jazdę kibitkami – To mogło być tylko między Permem a Kazaniem.

Jamszczyki (furmani) jeżdżą śmiało i zręcznie, a pędzą bez wytchnienia nawet pod górę. Kibitka jest zaprzężona w trzy konie w poręcz. Środkowy koń ma do hołobla przymocowany dzwonek, który dzwonieniem ostrzega jadących przodem zjeżdżać z drogi. Jamszczyk woła „dierżyś, beregiś" (trzymać się, na bok) i pędzi jak szalony.–

Jamszczyk nigdy konia nie uderzy – mówi całą drogę do koni – nazywa pie,

szczotliwie: „malczyki, gałubczyki, disti" a konie nigdy w biegu nie ustają.

Trzeba się dobrze trzymać, aby w tym szalonym pędzie z kibitki nie wylecieć.

Z Kazania szliśmy pieszo etapami do Symbirska, dokąd wyrokiem Włodzimierskim skazany zostałem.

Wspomniałem poprzednio, że partya składała się z pospolitych zbrodniarzy, a nas było tylko kilkunastu, zatem przewaga większości zmuszała nas niejako zsolidaryzować się z nimi i na przyjazne odezwanie się takiego bradiagi „słysz brat", nie mówić „wołk twoj brat" (wilk twój brat) jak to nieraz nasi im mówili. Z obawy szykan z ich strony, przyjazne z nimi postępowanie, było rzeczą konieczną. —

Kuto nas w naruczniki.

Ustawiono sześciu w trzy dwójki - jedna za drugą - każdemu założono na rękę żelazną bransoletę - a za pomocą środkiem tych dwó„jek przeprowadzonego łańcucha całą szóstkę tak połączono, że stanowiła nierozerwalną całość.

Takie skowanie było prawdziwą katuszą.

Jeżeli w szóstce byli wszyscy zdrowi i szli miarowym krokiem, to pomimo, że skowa„nej ręki podnieść nie było można, że ręka cierpła, a na mrozie sztywniała, jednakże miarowy krok, jedne i te same ruchy w mar„szu, ochraniały od męczarni, jeżeli w szóstce był kto słaby, co albo iść, albo kroku trzy„mać nie mógł. Trzeba go było ciągnąć, a wtenczas ręka bardzo bolała i ból roz„chodził się po całem ciele.

Przyjemnością było, jak kto musiał iść na ustęp - wszyscy wtenczas musieli być

świadkami tej naturalnej funkcyi żywotnej.

Jak jeden siadł, albo się położył, wszyscy to samo uczynić musieli.

Niejednokrotnie, aby nam dokuczyć, a przeważnie, aby dostać łapówkę, chwytano nas przemocą i kuto razem z bradiagami.

Chociaż skuci razem zbrodniarze byli dla nas przyjacielscy, bo odczuwali różnicę zachodzącą między nimi a nami, jednakże sama myśl, że się jest skutym ze spodlonym wyrzutkiem społeczeństwa, może z mordercą, podpalaczem, moralne cierpienia zadawała.

Nasze prośby i groźby, aby nas z bradiagami razem nie kuto, zbywali konwojni drwinami i złośliwemi uwagami. Trzeba było tylko zęby zacinać, aby nie wybuchnąć gniewem i powodu do szykan nie dawać, a głównie, aby nie nazwali naszego stu=

szego żądania buntem i jeszcze gorzej nie dręczyli.

Jak miałem kilka kopiejek, to dawa- łem sołdatom, aby mnie kuli w pojedynkę, ale i to było męczarnią, albowiem obydwie ręce nie były wolne. Najlepiej było iść we dwójkę, ale tak paradnie rzadko kuto.

Każda partya więźni wybierała sobie starostę, który był odpowiedzialny za porzą- dek, pośredniczył między władzą i więźnia- mi, odbierał i rozdzielał podajanie - a któ- rego wszyscy słuchać musieli. Ponieważ wię- kszość stanowili zwykle pospolici zbrodnia- rze, wybierali zatem oni ze swego grona starostą takiego, który się szczycił całym szeregiem popełnionych zbrodni, lub też, który już kilkakrotnie uciekał z katorgi i wszystkie etapne szlaki dobrze znał. -

Taki miał mir, respekt i posłuch u swoich.

Starosta bradiagi przestawał w przyjaznych stosunkach z żołnierzami, opłacał się im z podajania i żadnych rachunków z zebranych pieniędzy nie składał. Sam dobrze się obławiał, a swoich faworytów, którzy za nim gardłowali i często nawet pięścią go popierali, z krzywdą drugich hojnie wynagradzał. Pokrzywdzeni bradiagi z obawy gniewu starosty i siły pięści jego przybocznej kliki, cicho być musieli.

Polityczni tylko w sprawach sporu z bradiagami, lub w sprawach kradzieży, jakie się czasem wydarzały, udawali się do starosty, ale do spraw bradiagów zupełnie się nie mieszali i w podziale podajania udziału nie brali. Starosta bez wyraźnego upoważnienia także się do spraw politycznych więźni

nie mieszał. Polityczni trzymali się razem i swoje sprawy polubownie między sobą załatwiali.

W tej partyi, gdy nas tak mało było, z obawy szykan z ich strony, nie mogliśmy się odosobniać i wyróżniać. Na etapach, gdy nam jedzenie przynieśli, siadaliśmy zwykle razem z nimi na ziemi i z jednego szaflika razem jedli. Wstrętne było dla nas to towarzystwo, ale głód i strach przed groźną pięścią takich siłaczy, zmuszał nas: „faire une bonne mine pour mauvais jeu".

Musiała to być późna jesień, lub może, że już początek zimy, bo dobrze pamiętam, że w czasie tego naszego męczeńskiego pochodu do Symbirska, były śniegi, deszcze i błota. Gdyśmy po długim marszu na etap przyszli, zmoczeni, zziębnięci i zabłoceni

to płacz chwytał i rozpacz ogarniała.

Jak to już poprzednio opisałem, legowisko na tapczanach uzurpowali sobie silniejsi bradiagi, a my bezsilni, zmuszeni byliśmy, jak psy, wsuwać się pod tapczany i kłaść się na brudnej, wilgotnej ziemi. Za pościel i okrycie służyła nam mokra odzież, która w zimnych, źle opalanych norach wyschnąć nie mogła i w stan febryczny wpędzała. Nie mogąc posilić się czem gorącem, trzęśliśmy się ze zimna, a nie mogąc, na mokrej pościeli pod mokrem okryciem, zasnąć, cierpieliśmy niewysłowione męki. Niewypowiedzianie umęczeni, dopiero nad ranem zasypialiśmy twardo, ale już z pierwszym brzaskiem dnia wpadali Moskale z pękiem żelaznych bransolet i krzyczeli: „wstawatj, zakowatj sia".

Trzeba było znowu to mokre odzienie na

siebie wdzięczać i posiliwszy się kawałkiem czarnego chleba, popiwszy kwasem (napój z chleba, powszechnie zamiast wody używany) nie pozbywszy się dreszczów, skuty razem ze zbrodniarzem, wlec się znowu cały dzień na deszczu lub śniegu, brodzić po wodzie, po błocie lub śniegu i dowlókłszy się na noc do etapu, znowu te same męczarnie ponosić.

Mimowoli wyrywała się z piersi żałosna skarga: „Boże i Ty na to pozwalasz".

Na etapach zostawialiśmy często chorych z przeziębienia, z umęczenia i nędznego posiłku, a głównie z tego, że wilgotna odzież nigdy nie wysychała i ze stanu febrycznego nie uwalniała. Podczas mrozów, gdy się bardzo rano wyszło z etapu, pokrywała się mokra odzież lodową skorupą.

Że ja to wszystko wytrzymałem cudem

to dziś mienię.

Co kilka półetapów, były główne stacye etapne, gdzie była siedziba komendanta i żołnierzy. Na takich stacyach następował jednodniowy wypoczynek. Tu można było osuszyć się, wypocząć i lepiej się posilić.

Tu żony miejscowych inwalidów czekały na przychodzące i odchodzące partye więźni i sprzedawały różne pożywienie i tak: mięso zimne, twarde jaja, ogórki, chleb, bułki, bliny (pierogi z kartoflami, grochem lub kaszą) mleko i jakieś podejrzanej jakości zupy gorące, które dla zziębniętych były specyałem. Dla zaostrzenia apetytu garnki były przykryte brudnemi szmatami.

Dobrze nas te baby zdzierały, a nie byliśmy bardzo syci, bo 10 kp. dziennego strawnego nie wystarczało na lepszy posiłek.-

Do nadmiaru złego dołączyła się jeszcze sro-
dze dokuczliwa codzienna rewizya na etapach.

W katorgach i w aresztanckich rotach
fałszerze banknotów uprawiają bezkarnie swój
zbrodniczy proceder. Są oni w zmowie z dozorcami
i z żołnierzami i przez nich te falsyfikaty w obieg
puszczają - zmieniają, lub swoim zaufanym po
niższej cenie sprzedają. Relata refero, że nie-
kiedy i smotritiel jest w to wtajemniczony.

Chciwość posiadania łatwego grosza daje
mu wprawdzie grube dochody z tego mętnego
źródła, ale trzyma go w ciągłej obawie, aby
się sam do katorgi nie dostał. Jeżeli taki ko-
mendant więzienia ma w swoim pensyonacie
artystę, który w swojej sztuce jest wydosko-
nalony i z jego pracowni udatne „bumażki"
wychodzą, to stara się on pod różnymi pozora-
mi zatrzymać fałszerza u siebie, jeżeli dostaje

rozkaz wysłania go dalej, aby tylko tych łatwych dochodów nie stracił.

U Katorżników można nabyć fałszywych banknotów, fałszywych monet, dokumentów i paszportów. W więzieniu pod narami w nocy przy świeczce łojowej odbywa się ta fabrykacya. Trudno temu uwierzyć, a jednak to prawda, że w Rosyi przeważna część czynownictwa winna iść do katorgi, gdy nietylko takie zbrodnie ukrywa, ale zyski ztąd ciągnie i staje się sama szkodliwą dla społeczeństwa szajką zbrodniarzy.

W drodze z Permu do Kazania zmieniał jeden z politycznych fałszywy banknot. Miał on go dostać od jednego bradiagi w Permie. Przy zmienianiu wyłapano go i z tego powodu pochód nasz do Symbirska był ciężką drogą krzyżową – istną Golgotą.

Każdy etapny oficer zdawał nas drugiemu z uwagą podejrzenia partyi o fałszerstwo banknotów i z nakazem ścisłej rewizyi na każdym etapie. Gdyśmy przyszli na etap, to „po ukazu" wszechwładnego satrapy etapu, nie puszczano nas razem do budynku, tylko po jednemu nas wpychali, rozbierali do koszuli i zabierali wszystko, co tylko kto miał, a to: pieniądze, tytoń, papier, ołówki, nawet igły i nici.

Pomimo naszego upominania się o zwrot tych rzeczy na wychodnem z etapu, nic nie oddawali...

Podczas rewizyi jednego, musieli wszyscy nie rewidowani stać na dworze, bez względu na stan pogody i na swoją kolej czekać.

Mnie zabrali notatki, jakie w ciągu niewoli robiłem, a które miały dla mnie cenną wartość, gdyż cieszyłem się myślą, że kiedyś, jeżeli Bóg do kraju wrócić mi dozwoli,

skreślę moje pamiętniki. Utratą tych nota„
tek zmartwiony, spłakałem się jak dzieciak, aż
się ze mnie śmiano.

Dziś po latach pięćdziesięciu, gdy wiele uciek„
ło z pamięci, z powodu tej straty, mogę tylko
skreślić wspomnienia z tej mojej Odyssei, a
z powodu zapomnienia miejscowości, czasu,
dat, nazwisk.. nie mogę ich nazwać pa„
miętnikami.

Miałem także nie małego stracha, gdyż
były w tych notatkach różne patryotyczne
pieśni, a szczególnie straszyła mnie jedna
pieśń, z której tylko pamiętam„ będziesz
dyndał, dyndał carze, a wraz z to„
bą dygnitarze."

Zabrano mi także wypracowania fran„
cuzkie, które po powrocie do kraju z wielkiem
zdziwieniem przez starostwo w Jaśle odebrałem.

W drodze do Symbirska doszły nas słuchy, że się Symbirsk pali, że w całej Rosyi palą się miasta i wsie, podpalane przez „podziemną Rosyę" która chciała kraj cały, całą ludność przyprowadzić do torby żebraczej, aby przez głód i nędzę rzucić iskrę zapalną do zrewoltowania zrozpaczonych mas ludności i carat obalić. /: vide pag. 183/.

Gdyśmy wyszli z ostatniego półetapu przed Symbirskiem, już nas dolatywała woń spalenizny. Wiedzieliśmy, że już miasto blizko.

Już w oddali ukazał się naszym oczom niezwykły, grozą przejmujący widok. Całe miasto leżało w gruzach, a tu i ówdzie jeszcze się domy dopalały i dymy się w dal rozciągały. Na około miasta na polach obozowały tysiączne tłumy rodzin bezdom-

nych, utratą mienia oszalałych, trwożnych o swoje jutro, biadających o dach, o chleb, którego zbrodniczą ręką podpalaczy pozbawione zostały. Wszędzie nagromadzone były bary-kady mebli, mnóstwo różnorodnych sprzę-tów, wozów, kufrów, pak i najrozmaitszych rzeczy.

Wszędzie było słychać płacz kobiet i dzieci - jęki, narzekania, przekleństwa - ryk głodne-go bydła, wycie psów, słowem straszny obraz nieszczęścia.

Chciały wyzyskać to nieszczęście wrogie Polakom żywioły - popi, czynownicy i tutti quanti, i aby zasiać ziarno nienawiści dla pokonanej w nieszczęśliwej walce z caratem nienawistnej im Polski, puścili pogłoskę między ludność pogłoskę, że to Polacy palą.

Gdyśmy weszli w to piekielne środo-

wisko żywiołowego zniszczenia, otoczyły nas sfanatyzowane, zemstą dyszące tłumy i przyjęły nas groźbami i przekleństwami, obrzucały kamieniami i błotem.

Byłyby się niechybnie na nas rzuciły, jako na mniemanych sprawców ich nieszczęścia, ale wojsko otoczyło nas szczelnie kordonem i najeżyło bagnety. Wobec groźnej postawy wojska wyszliśmy z niebezpieczeństwa z całą skórą.

Pamiętam, że na niewielkiem wzniesieniu stał samotnie „tiuremnyj zamok". Na około nie było ani jednego domu - wszystko się spaliło, tylko turma ocalała. -

Opowiadano, że podczas pożaru mury więzienia były tak gorące, że obawiano się buntu i ucieczki uwięzionych zbrodniarzy, ewentualnie groźnych następstw - kradzieży, rozbojów i mordów. Zagrożone władze

obawą krwawej katastrofy, otoczyły turmę wojskiem i wszelkie możliwe siły ratunko-we skierowały ku uratowaniu jej od pożaru.

Ten energiczny ratunek ocalił więzienie i ocalił jego mieszkańców, bo w razie ognia byłoby ich wojsko z palących się murów ży-wych nie wypuściło. Znajdujący się w wię-zieniu Polacy byliby ponieśli śmierć męczeńską.

W tej turmie przeszliśmy przez wszy-stkie stopnie piekieł. Głód, robactwo, ciasno-ta, zabójcze powietrze i ciągłe zastraszające wieści, że sprowokowany motłoch chce na więzienie napaść i z pomocą uwięzionych zbrodniarzy Polaków wymordować, że ci zbro-dniarze zmawiają się, aby się na wolność wydobyć, trzymały nas w spotęgowanem naprężeniu zmysłów i straszyły. Zdawało się, że zbli-ża się ku nam jakieś groźne widmo, które nas

życia pozbawi.

Już była mroźna zima, jak opuściliśmy te straszne mury, za co gorąco Bogu dziękowaliśmy.

Powiedziano nam, że idziemy do Tuły i szliśmy tam znowu etapnym szlakiem – jednak już dzisiaj tej drogi nie pamiętam. Przypominam sobie, że były wtenczas silne mrozy.

Odmrażali twarze, nosy, uszy, gdyż mróz się srożył i jak szpilkami kłuł, a szczególnie rano, gdyśmy z noclegu w pochód wyruszali, jak ogniem palił i oddech tamował. Szliśmy więcej biegiem, niż krokiem, aby się rozgrzać i od odmrożenia uchronić.

Zakutą rękę, która zawsze na dół zwieszoną była, dobrze obwijałem i rękawice skórzane wdziewałem i jakoś mi Pan Bóg w tej drodze pomagał, bo mi się nic nie stało.

W źle opalanych, lub wcale nie opalanych

kaźniach na noclegach także było zimno, że trudno było się rozgrzać, a buchająca z dworu para tak kaźnie zaciemniała, że jeden drugiego nie widział.

Często były kaźnie tak szczupłe, że liczniejszej partyi pomieścić nie mogły, to nieraz, gdy nie było miejsca gdzie się położyć, trzeba było siedząc drzemać i ruszyć się nie było można. Tak byliśmy ściśnięci, jakby ze sobą zlepieni.

Raz jednemu włosy przymarzły do drzwi i musiano pospieszyć mu z pomocą, aby je oderwać.

Na noc stawiali kubły w kaźni i kaźnię zamykali. Żeby cholera była tam wtenczas grasowała, a w Rosyi jest ta chciwa żeru epidemia częstym gościem, bylibyśmy ginęli jak muchy.

Ostatecznie wszystko ma swój koniec, więc i katusze mordeczego pochodu skończyły się.

Przyszliśmy do Tuły.

Tuła jest to miasto fabryczne - siedziba władz guberni. Posiada rządowe fabryki broni i fabryki słynnych Tulskich samowarów. Ludność fabryczna jest przeważnie niemiecka.

Umieszczono nas najpierw w ostrogu, niedługo potem w aresztanckich rotach. Dano aresztancką odzież, a to: kurtkę z grubego szarego sukna z czarnymi rękawami, takież spodnie i czapkę szeroką, okrągłą z czarnym krzyżem. Dano sienniki, poduszki wypchane słomą i grube koce do przykrycia. Każdy miał swoje miejsce na narach. Zaczęliśmy przychodzić do siebie i weselej w przyszłość patrzeć.

Przyjaźń moja z Rydygierem coraz silniej się zacieśniała - mieliśmy miejsca koło siebie. - Baliśmy się, aby nas nie rozdzielono, albowiem w niewoli prawdziwy przyjaciel to anioł opie-

Kuńczy, pocieszyciel, gdy smutek serce tłoczy.

Dziś po latach pięćdziesięciu, po tylu przejściach i doznanych zawodach, doszedłem do tego smutnego, jednakże prawdziwego pewnika, że prawdziwa przyjaźń na świecie na wieki pogrzebana i nigdy nie zmartwychstanie. –

Codziennie prowadzono nas na różne roboty. Staraliśmy się zawsze chodzić razem, ale nie zawsze się to udawało.

Idąc na robotę, każdy brał z magazynu potrzebne „instrumenta", taczki, łopaty, siekiery, młotki i szliśmy śnieg wywozić, błoto zgarniać, drzewo rąbać, a w lecie ulice zamiatać, wygon dach robić, kamienie tłuc po gościńcach, stare domy burzyć i gruz wywozić. Używano nas także do przeprowadzki przy zmianie mieszkań. –

Ja się tam bardzo nie natężałem, pomimo, że dozorcy błogosławili mnie po swojemu.

Ja sobie zawsze pomalutku ostrożnie stukałem, na łopatę dużo nie nabierałem i na taczki bardzo nie ładowałem.

Pamiętam raz, przy przeprowadzaniu jakiegoś Kacapa, niosłem z wielką rewerencyą wielki obraz jakiegoś świętego i ten święty, w nagrodę za mój trud, nasyłał mi ładne kacapki z podajaniem.

Z początku mojej niewoli, oburzała mnie ta jałmużna i brać nie chciałem, ale potem, gdy koledzy się śmiali z tego, jak to nazwali, „fałszywego wstydu" i przekonali mnie, że mi to zupełnie nie ubliża, nietylko, że brałem, ale nawet cieszyło mnie to i bawiło, jak mi wsuwano do ręki kopiejki z poleceniem modlenia się za duszę jakiegoś tam Iwana, Fiodora, Ławrientyja, albo jakiej Warwary lub Jekatieriny. Trzeba było „perekrestitj sia" i podziękować. Obrażali się i oburzali, jak kto nie przyjął. –

Raz poszliśmy drzewo rąbać do jednego kapitana. Tego nie umiałem, nie miałem do tego zdolności. Jak uderzyłem siekierą w polano, to albo w górę wyleciało, lub bokiem padło, a oszczupać go nie mogłem. Moskale złościli się i pytali, co ja w domu robiłem, że drzewa rąbać nie umiem. Mówiłem im, że świnie pasłem.

U tego kapitana była młoda kucharka - na imię jej było Serafimiczka. Tak się nazwała, gdy ją o to pytałem. Ta Serafimiczka, widząc takiego ciekawego rębacza, ogromnie się ze mnie śmiała. Musiałem się jej spodobać, bo tak skaptowała dozorców, że sami mi mówili, abym dał spokój rąbaniu i poszedł do kuchni.

Siedziałem sobie godzinami w kuchni, ale że mnie nic rozumiała, a wzorem pierwszych ludzi na migi rozmawiać, uważałem za rzecz śmieszną, to jakoś nam obojgu było głupio.

Często z pańskiego stołu resztki dla mnie zostawiała, a jak mi je podawała i zalotnie prosiła: „kuszaj miłyj, kuszaj gołubczyk”, to widocznem było, że spodziewała się innego podziękowania, niż zwykłego „błagodarju” (dziękuję), ale ja byłem na to może nie za głupi, ale za nieśmiały.

Jednego dnia kazała mnie przez sałdata poprosić „na czaj” do pokoju, bo kapitana w domu nie było. Bałem się iść, zwłaszcza, że miał być także na tym czaju lokaj kapitana. Towarzystwo lokaja i kucharki i „czaj” w pokoju nieobecnego pana – to się mojej ambicyi nie podobało. Nie poszedłem.

Skaptowany Moskal, nie mogąc mnie namówić na te zaprosiny, rzekł mi drwiąco: „Eh, ty durak”. –

Robota się skończyła i już potem mojej

Serafimiczki nie widziałem. Pewnie także powiedziała: „Eh, to durak".

/

Z wiosną r. 1866. przerzucono nas do „czygonki" t. j. do budowy kolei żelaznej, przy której już od roku tysiące Polaków pracowało. O kilka wiorst od miasta postawiono ogromne baraki i tam nas umieszczono. Ze wschodem słońca wychodziliśmy na robotę, z zachodem wracaliśmy do baraków.

W południe przywożono nam w beczkach obiad. Każdy miał swoją drewnianą miskę i łyżkę wyrobu krajowego. Jadło się pod gołem niebem, na nasypach, przy taczkach.

Obiad był zwykły, aresztancki, ale po tych

obrzydliwościach, jakie w różnych turmach, ro-
tach i etapach poprzednio jeść musieliśmy, było
to jedzenie znośne, nie śmierdziało łojem i dosyć
czysto było zrobione. Praca fizyczna i powietrze
zaostrzały apetyt.

Była tylko godzina odpoczynku.

O godzinie pierwszej „klakał" (dzwonek) wo-
łał już do roboty – zrywali się wszyscy i chwy-
tali za „instrumenta".

Pracowaliśmy przy ziemnych robotach.

Chłopi robili na akord i coś tam niewie-
le za metr sześcienny dostawali. Inni nie
mieli wyznaczonej roboty – dozorowano jednak,
aby nie stać i nie próżnować.

Taczki były szerokie, ciężkie. Drążki
rozchodziły się tak daleko od siebie, że trze-
ba było dobrze ręce rozłożyć, aby je uchwy-
cić. Do drążków przymocowany był pas,

który się na ramiona zakładał.

Była to dla mnie ciężka praca, toteż stękałem i biadałem. „Wot kakoj lentiaj" (jaki leniwy) drwili sobie Moskale, ale ja to już nieraz słyszałem i nic sobie z tego nie robiłem.

Ostatecznie widząc, że nie mają ze mnie pożytku, kazali mi ziemię z desek zmiatać, aby było lżej drugim taczki wozić.

Nawet i to męczyło, bo jak usiadłem dla wypoczynku, zaraz spędzali, a stać od świtu do zachodu słońca na skwarze, na wietrze lub słocie, to z nóg waliło. —

W barakach dawano nam na „użynu" (kolacya) przygrzewane resztki z obiadu i zaraz kładliśmy się spać.

Był tam dokuczliwy dozorca, podobno zmoskwiczony Polak — miał być stójkowym w Warszawie. Nazywaliśmy go „policyjski

Kruczok." Ten nam zjadliwie dokuczał.

Równo ze świtem budził zaspanych, ściągał z posłania i śpiewająco jedno i to samo codzień nie powtarzał „pany, wstawatj, wstawatj, kaszu dojadatj, gorach drechlobywatj." Nie cierpieliśmy tego plugawego gada i w duchu życzyliśmy mu, aby go jak najprędzej należne mu pieklo nie minęło.

Barak był licho postawiony, dach źle pokryty, to gdy nieraz w nocy puścił się ulewny deszcz i lało się nam na posłanie, musieliśmy pod nary uciekać.

Trwały te roboty przy „czegonce" coś ze trzy miesiące, lub dłużej. Zmęczyły mnie bardzo, zbiedziły i mój zwykle dobry humor zupełnie mi odebrały.

Tęskno mi było za moimi najdroższymi, myślą byłem zawsze z Nimi, a przeczutoną

wyobraźnią widziałem Ich przed sobą.

Co się tam w domu dzieje, zawsze sobie to pytanie stawiałem.

Tylko raz do Permu przyszedł list z pieniędzmi, które smatritiel odebrał i częściowo mi udzielał, o co trzeba było prosić i powiedzieć, na co pieniędzy potrzeba. Po wyjściu z Permu rodzice nie wiedzieli, gdzie jestem, więc brak wiadomości z domu bardzo mnie smucił.

/ .

Nadeszła nareszcie ta pamiętna chwila, w której moje smutki zamieniły się w radość. Modły mojej matki zostały wysłuchane. Za staraniem Księdza Ruczki, proboszcza z Kolbuszowej, posła do Parlamentu, wszyscy austryaccy poddani zostali przez rząd

reklamowani i mieli wrócić do kraju.

Był to dzień dla mnie niewypowiedzianie radosny, kiedy mi wolność oznajmiono. Równocześnie przyszło także uwolnienie dla Rydygiera, za którym ojciec mieszkający w Rosyi starania czynił. Uciecha nasza była zatem niebem radości.

Z baraków odstawiono nas do Tuły, a tam po załatwieniu wszelkich urzędowych formalności, przyłączono znowu do partyi pospolitych zbrodniarzy i zawsze jeszcze strojnych w żelazne bransolety, poprowadzono etapami do Moskwy.

Pomnę dwóch żołnierzy, skazanych za jakiś przestępstwa do twierdzy w Kronsztadzie. Nazywali się Wołkow i Kobyłow. Żartowano z nich, że wilk z kobyłą zgodnie razem idą. Ci często szli ze mną skuci i by-

li dla mnie niezwykle przyjaźni. Czasem, gdy byłem bardzo zmęczony, a podwody na rzeczy nie było, brali mój „mieszok" z rzeczami i nieśli. —

Gdyśmy już z ostatniego etapu przed Moskwą wyruszyli i weszli na górę, z której wspaniały widok roztacza się na całą Moskwę, gdy zobaczyłem ten nieprzebyty las murów, te liczne złociste kopuły, wieże majestatycznego Kremla i ten ogrom najróżnorodniejszych budowli, trwałem się na ten niezwykły widok jakby zahypnotyzowanym.

Bradiagi padli na kolana, żegnali się i bili pokłony. Przyjęt się ten zwyczaj, że każdy prawowierny Moskal, gdy się na tej górze znajdzie, oddaje pokłon „świętemu miastu" i stąd ta góra nazywa się: „pakłonnaja gara". —

Nie mogłem oderwać oczu od tego widoku, stałem jak wryty. Ocknąłem się na wołanie Moskali „w pochod, nie ostawatj sia".

W Moskwie przetrzymano nas jakiś niedługi czas w poczerniałym ze starości, z jakiegoś klasztoru przerobionym ostrogu.

Wewnątrz murów, okalających ostróg stoi na podwórzu ogromna żelazna klatka, w której, według podania, więziono Pugaczewa, co na czele buntu stanął i walkę przeciw despotyzmowi caratu w całej Rosji rozżarzył..

Z Moskwy do Petersburga jechaliśmy skuci we dwójkę. Zbliżaliśmy się do kraju, to już nam nic nie dolegało.

Jechaliśmy dalej przez pamiętny Psków, przez Wilno i przybyliśmy do Warszawy.

W Warszawie zatrzymano nas w ratuszu, gdzie nas karmiono szkaradną zupą z kmin-

kową, głodem morzono i brutalnie traktowano.

W Warszawie jeszcze nam bransoletki założono i pod eskortą żołnierzy pułku gwardyjskiego, chłopów rosłych i silnych jak dęby, do Granicy powieziono.

Tu odebrali nas Austryacy i zaraz w asystencyi „financwachów", pomaszerowaliśmy pieszo do Szczakowy, a ztamtąd pojechaliśmy koleją do Krakowa.

Gdzie się z Rydygierem rozstałem i na zawsze pożegnałem - nie pamiętam.

Mojej radości, gdy zobaczyłem się w starożytnym grodzie Podwawelskim, nie jestem w stanie opisać.

W ciągu powstania sympatya dla

powstańców cały kraj ogarnęła. Gazety apo-teozowały ten bohaterski bój i pisały „cześć Wam bohaterowie, kraj Wam tego nigdy nie zapomni".

W mojej naiwności byłem pewny, że powitani zostaniemy owacyjnie, jakżeż bardzo rozczarowałem się, gdy Krakowianie, nietylko, że nas nie witali, ale przypatrywali się nam tak jakoś obojętnie, że mimowolnie budził się jakiś żal do nich, bo zrozumieć tej obojętności nie można było. Później ją zrozumiałem.

Nastąpiła reflexya – krytyka powstania, a codzienny widok wracających powstańców spowszedniał i żadnego głębszego uczucia nie wzbudzał. Słomiany ogień zgasł.

Późnym wieczorem znaleźliśmy się na ulicach Krakowa, zawsze jeszcze pod strażą.

Umieszczeni zostaliśmy w magistracie.

Na drugi dzień przyszedł wuj Jezierski i za jego poręką zostałem uwolniony. Kazano mi jednak w 24^rch godzinach z Krakowa wyjechać.

Nareszcie wolny, swobodny! Nie mogłem jeszcze temu uwierzyć i w zapomnieniu oglądałem się za nieodstępnym dotychczas aniołem stróżem w moskiewskiej szyneli.

Chodziłem po mieście w aresztanckiej odzieży, albowiem innej nie miałem. Gapiono się na mnie, jak na jakiegoś cudaka – mijano także obojętnie. –

Poszedłem najpierw do Kościoła Panny Maryi, z którego do powstania wychodziłem, aby podziękować Bogu za doznane szczęście powrotu do kraju; potem pobiegłem przywitać się i zarazem pożegnać z wujostwem

Biesiadeckimi, z panną Krynicką, która jak do powstania szedłem, żegnała mnie jako „przyszłego bohatera" i na ostatku z moimi znajomymi i kolegami. —

Zostawiwszy wszędzie na pamiątkę po kilka sztuk z licznej mojej trzody egipskiej, odjechałem do Tarnowa.

W Tarnowie pozbyłem się chałatu z rojami moskiewskich egipcyan, wykąpałem się w łaźni i jak nowo narodzony, poszedłem do hotelu Mikosiewicza, gdzie mnie cała jego rodzina serdecznie powitała.

Gdy się pierwszy raz na miękkiej i czystej pościeli położyłem, zdawało mi się, że w niebo wzięty zostałem.

Nazajutrz przyjechał po mnie mój kochany ojciec — spłakałem się przy powitaniu, a i ojciec łzę radości uronił.

Jak mnie w domu witano, jak ściskano i całowano, jak moja najukochańsza matka z wielkiej radości płakała, jak ja się cieszyłem i temu mojemu szczęściu nawet wierzyć nie mogłem, to dziś jeszcze, po latach pięćdziesięciu, starcem będąc, na wspomnienie tej pamiętnej chwili powrotu, łzy rozczulenia w oczach mi stają.

Pisałem w Grudniu r. 1913.

Pamiętniki Władysława Milowicza podają motywy pożarów wręcz przeciwnie - niewątpliwie prawdziwie. -

Gdy Wielopolski zaprojektował brankę i w dzienniku urzędowym projekt ogłosił, Komitet Centralny starał się przygotować wszystko, aby ocalić młodzież od wcielenia jej do wojska rosyjskiego i wysłania na Kaukaz, lub w Sybir, zarazem ustanowił na cały kraj podatek narodowy na zakupienie broni, gdyby wybuch powstania okazał się nieunikniony. -

Za zgodą Hercena i Bakunina, wydawców rewolucyjnego „Kołokoła" konspiracja polska zawarła w Londynie ugodę z Moskalami, na mocy której Moskale zobowiązali się popierać powstanie polskie. Policja francuzka to wykryła i uwiadomiła o tem rosyjski rząd. -

W „Kołokole" pojawiły się odezwy, że w razie polskiego powstania wojska rosyjskie z Polakami bić się nie będą.

Ponieważ popularność Hercena i

Bakunina, oraz emigracji rosyjskiej miała wielki wpływ na masy ludności ros. rząd ros. przeraził się i obmyślał środki, jakimiby grożące mu niebezpieczeństwo usunąć i wpływ Herzena i Bakunina zniweczyć mogły.

W tym celu policja ros. drukowała i rozpowszechniała rewolucyjne proklamacje, pochodzące rzekomo z Londynu, aby na podstawie socjalistycznych zasad obalić rodzinę, religię, palić miasta, fabryki i domy bogaczów.

Ciemny lud uwierzył w te zbrodnicze proklamacje, zł[o]rzeczył redaktorom „Kołokoła" wielu Rosjan, których podejrzywał o stosunki z emigrantami ros. mordował i kamienował na ulicach Moskwy i Petersburga.

Wkrótce potem zaczęły się palić większe miasta w Rosji i pogrążyły ludność miejską w rozpacz - w nędzę.

Moskale rozpuszczali pogłoski, że to Polacy podpalają, dlatego wszystkie partje polskich powstańców były witane w miastach przez rozwścieklone tłumy przekleństwami i kamieniami. –


Rydygier
Romuald Wilusz
(W niewoli)

186

187

TOWARZYSTWO NAUKOWE

POŁĄCZONE

Z UNIWERSYTETEM JAGIELLOŃSKIM.

Przesyła niniejszém podziękowanie P. Władysławowi Willusowi Dziedzicowi dóbr ziemskich

za pomnożenie zbiorów Uniwersytetu Jagiellońskiego nadesłaną skrzynią staroświecką i 11tu Księgami starożytnych druków

zapewniając zwrot rzeczonych darów Jemu Samemu lub Jego spadkobiorcom, w razie, gdyby te zbiory przez nieprzewidziany zbieg okoliczności miały przestać być własnością Uniwersytetu Jagiellońskiego lub innemu uledz przeznaczeniu.

W Krakowie dnia 25 Maja 1851 r.

Romajor Prez. Tow. Józef Kremer Sekr. T. N.

190

Zakwitowanie

otrzymanych od p. Władysława Willusza, na rzecz biblioteki i muzeum przy wszechnicy Jagiellońskiej ofiarowanych darów, jako to:

A. W książkach.

I. Druki polskie:

a. Postille X. Jak. Wuyka z Wągrowca 2. Tomy. Poznań 1580.
b. Greg. Cnapii Thesaurus pol. lat. graec. Cracoviae. 1643.
c. Zwierciadło etc. o S. Mechtyldzie. Lwów. 1645.
d. Woyna domowa Samuela ze Skrzypny Twardowskiego.
e. Historya o Argenidzie, Królewnie Sycylijskiey. 1674.
f. Zebranie potraw Stan. Czernieckiego. Kraków 1682.
g. Wizerunek etc. S. Kunegundy. Kraków. 1718.
h. O życiu Nayświ. Maryi Panny.

II. Druki zagraniczne:

i. Concordantiae bibliorum utriusque testamenti. Antverpiae 1585
k. Fr. Hieron. ab Aquapendente orationes et carmina. Ingolstadii 1592.
l. Compendium Theologiae moralis. Laymann. Moguntiae 1637.
m. Dictionarium lat. germ. et germ. latinum Petri Dasypodii.

B. Skrzynia staroświecka ze malowidłami i ozdobami w płaskorzeźbie.

Żółtków 23. Kwietnia 1851.

X. Fr. Jan Załuski

192